



Jessica Matthews

Terapia kwiatami

Tytuł oryginału: His Long-Awaited Bride



ROZDZIAŁ PIERWSZY

Trzeba pozbyć się dowodów.

Marissa Benson patrzyła na bukiety ustawione rzędem na oddziale intensywnej terapii szpitala w Hope. W ciągu paru minut normalny poranek zamienił się w jakieś szaleństwo. Co prawda w szpitalu niespodzianki są na porządku dziennym, ale Marissie nawet się nie śniło, że najpierw zostanie dosłownie zavalona pracą, by moment później zatonać w kwiatach.

- Wczorajsza randka musiała być bardzo udana - zażartowała z błyskiem w oku pielęgniarka Kristi Thomas.
- Żaden mężczyzna, z którym się spotykałam, nie przysłał mi kwiatów następnego dnia.

- Było miło - skwitowała Marissa.

Obie były jeszcze singielkami i często dzieliły się doświadczeniami z randek. Ale szczegóły tego wieczoru były wciąż zbyt cenne, by o nich opowiadać nawet osobie tak bliskiej jak Kristi.

Kristi pochyliła się i powąchała goździki.

- Przyznaj się, gdzie znalazłaś takiego faceta.

Marissa się uśmiechnęła.

- Na siłowni. Ćwiczył na bieżni obok.

Kristi skrzywiła się z niesmakiem.

- Ojej, siłownia. Chociaż... - Zamyśliła się na moment. - Jeśli to przynosi takie rezultaty, chyba się nad

tym zastanowię. Czy on nie ma przypadkiem jakiegoś brata albo kuzyna do wzięcia?

- Brata nie, a jeśli chodzi o kuzyna, to nie wiem.

- No to się dowiedz. Jeśli zaczniecie rozmawiać.

- Rozmawiamy - zaprotestowała Marissa, kiedy Kristi puściła do niej oko. - Wczoraj rozmawialiśmy podczas kolacji, a potem jeszcze po spektaklu.

Kristi uśmiechnęła się znacząco.

- Skoro tak twierdzisz...

- To prawda. - Na wspomnienie minionego wieczoru policzki Marissy pokrył rumieniec. - Posłuchaj - podjęła, pewna, że na jej twarzy zagościł głupekowaty uśmiech.

- Nie chodzi o to, że chcę coś przed tobą ukryć, ale...

Kristi podeszła i uściskała ją.

- Wiem. Czasem zdarza się coś tak wspaniałego, że człowiek chce to przez chwilę zachować dla siebie, żeby się tym nacieszyć. Rozumiem.

- Dzięki.

- Obiecuj mi tylko, że pierwsza się wszystkiego dowiem, jak będziesz gotowa.

- Obiecuję. - Marissa się roześmiała.

- A skoro już złowiłaś rybkę, wszystkie inne, które ci się nawiną, podrzucaj do mnie.

- Na pewno.

Kristi dotknęła płatką róży i jej uśmiech zgasł.

- Szkoda, że nie dostarczyli ich później. Teraz musisz je gdzieś upchnąć do końca pracy. I to migiem.

Wydawało się niesprawiedliwe, że tak miły gest może sprawić poważny kłopot. Marissa westchnęła.

- Właśnie. Inaczej Lorraine się wścieknie.

Lorraine Hawthorne, sześćdziesięciodwuletnia siostra oddziałowa, wyznawała pogląd, że na intensywnej terapii

nie ma miejsca dla kwiatów. Jeśli pacjent czuje się na tyle dobrze, by się nimi cieszyć, znaczy to, że powinien opuścić oddział. Jeżeli nawet częściowo miała słuszość, radosne kolory w pomieszczeniu dla pielęgniarek podnosiły na duchu każdego, kto je mijał.

Ale jeden barwny bukiet to mały kłopot, a siedem bukietów to już demonstracja.

- Masz jakiś pomysł? - spytała Marissa.

- Pusta sala chorych.

- Chyba się uda - rzekła Marissa po krótkim namyśle.

- Zaciągnę zasłony wokół łóżka i nikt nic nie zauważy.

- Jak szefowa tam wejdzie, od razu sprawdzi, czemu zasunięto zasłony - ostrzegła ją Kristi. - A jak przywiozą nowego pacjenta... - Nie musiała kończyć. Marissa wiedziała, że trzeba wybrać inne miejsce. - No i co zrobisz? - spytała Kristi z ciekawością i zazdrością w głosie.

Marissa zerknęła na bukiety. Wspaniały gest Trávisa ogromnie ją ucieszył, a jednak był trochę bezmyślny. Przecież miejsce jej pracy nie jest przyjazne kwiatom, a poza tym jak ma je zabrać do domu? Jej mały dwudrzwiowy samochód nie jest tak pakowny jak SUV czy minivan.

- Na początek - zaczęła - usunę je z widoku, zanim ktoś je zobaczy.

- Masz na myśli kogoś, kto jednym spojrzeniem zabija swe podwładne? - odezwał się głos zza rododendronu.

Marissa natychmiast rozpoznała głos, chociaż żałowała, że był to głos Justina St. Jamesa, przyjaciela z college'u a także jednego z dwóch internistów na oddziale. Niestety, Justin miał brzydki zwyczaj wtykania nosa w jej sprawy. Swojego arystokratycznego nosa, powinna dodać. Zresztą wszystko było w nim bez zarzutu. Wysoki,

ciemnowłosa, przystojny - ta dość banalna charakterystyka pasowała do Justina jak dobrze skrojony garnitur. Muskularny, a jednocześnie szczupły, o czekoladowych oczach oraz uśmiechu, na widok którego kobietom miękły serca.

Nie dość, że był atrakcyjny, to miał również ujmującą osobowość. Uprzejmy, cierpliwy i nieugięty, kiedy trzeba, miał świetne podejście do pacjentów. Gdyby Marissie kazano wskazać jego wady, przychodziło jej do głowy tylko to, że zbyt ciężko pracuje. No i że patrzy na nią jak na swoją młodszą siostrę.

Pocieszała się, że nie jest w jego typie. Justinowi podobają się wyrafinowane blondynki. Dawno temu pogodziła się z tym faktem. Nie było sensu marzyć o czymś więcej niż przyjaźń z tym facetem, choć zdarzało jej się to. W końcu czy fantazje na temat mężczyzny o uśmiechu, dla którego dałaby się zabić, mogą jej zaszkodzić?

A jednak cierpiała z tego powodu, więc tylko czasem puszczała wodze wyobraźni.

- Owszem - odparła. - Ale ty jesteś tu wyjątkiem.
- Czuję się wyróżniony.
- Powiedziałam tak tylko dlatego, że można cię przepuścić domowym jedzeniem. Co ma być tym razem? Kuchnia amerykańska, chińska, włoska czy meksykańska?

Justin jak zawsze wypełnił sobą przestrzeń.

- Sernik z wiśniami.
- Dobra. A teraz pomóż nam. - Wręczyła zaskoczonymu mężczyźnie wazon z różami, a potem rododendron.
- Hej - zaprotestował. - Od kiedy to lekarze zajmują się dostarczaniem przesyłek?

- Potrzebuję dodatkowej pary rąk, a nikogo prócz ciebie tu nie ma. Czy mam ci przypomnieć, że jeśli

Lorraine to zobaczy, będziesz mógł powiedzieć swoim kubkom smakowym, żeby przyzwyczyły się do niespodzianki z tuńczyka ze szpitalnej stołówki i zapomniały o frykasach?

- No dobra - mruknął dobrodusznie. - Ale pośpiesz się. Obowiązki czekają.

- Nie tylko na ciebie. Trzeba znaleźć jakieś miejsce...

- Rozejrzała się po korytarzu.

- Może magazyn? - zaproponowała Kristi.

- Dobry pomysł. - Marissa zostawiła łososiową gerberę w żółtej doniczce obok bukietu goździków oraz gipsówki i ruszyła za Kristi. Justin szedł u jej boku.

- Z jakiej to okazji? - spytał z zainteresowaniem. - Nie masz dzisiaj urodzin.

Zanim Marissa wymyśliła jakąś odpowiedź, Kristi zadała jej cios w samo serce.

- Dostała je od faceta, z którym była wczoraj na randce - oznajmiła rozmarzonym głosem, otwierając magazyn. - Czy to nie romantyczne?

- Od faceta? - spytał zdumiony Justin.

Marissa przepchnęła się obok niego i postawiła kwiaty na półce.

- Tak. - Unikała jego wzroku, świadoma, że to nie koniec pytań, na które nie ma ochoty odpowiadać. - Daj mi to. - Odebrała od niego rośliny.

Moment później przegoniła dwójkę pomocników i zamknęła drzwi zdecydowanym ruchem.

- Dzięki.

- Po to są przyjaciele. - Kristi puściła do niej oko, a sekundę później zapaliła się lampka na końcu korytarza. - To na mnie - oznajmiła, zostawiając Marissę i Justina.

No i się zaczęło!

- Dostałaś to wszystko po jednej randce z tym jak mu tam? - Słyszac niedowierzenie w jego głosie, Marissa natychmiast przybrała oficjalny ton.

Justin nie zauważał jej podczas beztrudnych lat studenckich, gdy razem się uczyli, a on spotykał się chyba ze wszystkimi dziewczynami z akademika! Fakt, że nadal nie widział w niej kobiety, która może się podobać, doprowadził ją do szału.

- Uważasz, że to absolutnie niemożliwe, żebym dostała kwiaty?

- Nie, ale skoro nie obchodzisz dziś urodzin ani żadnej rocznicy, wydaje się... - Urwał, jakby wreszcie zauważył jej zaciśnięte wargi i uznał, że trochę się zagalopował.

- Dziwne? Przesadne? - Patrzyła mu wyzywająco w oczy, czekając, aż jej przytaknie. Nie zrobił tego.

- Więc jaka to okazja?

- Czy mężczyzna nie może przysłać kwiatów bez okazji? - odparowała. - Tylko dlatego, że ma na to ochotę? Albo pragnie sprawić przyjemność kobiecie?

- Gdyby to był jeden bukiet, zgodziłbym się z tobą, ale on wykupił całą kwaciarnię. Albo czegoś chce, albo lubi imponować - zakończył z niesmakiem.

- Jesteś zazdrosny.

- Zazdrosny? O co?

Zacisnęła zęby. Te trzy słowa uświadomiły jej na nowo, że lepiej, by coś w swoim życiu zmieniła.

- O to, że jemu przyszło do głowy, żeby zrobić coś miłego, a tobie nie.

Justin przewrócił oczami.

- Och, proszę cię.

- To prawda. Kiedy ostatnio wysłałeś komuś kwiaty bez powodu?

Otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale zaraz potem się rozmyślił.

- Aha! - zawołała. - Wiedziałam. Nigdy.

- Jeśli Trevor chce...

- Cierpisz na zaniki pamięci - przerwała mu, - On ma na imię Travis. Travis Pendleton.

- Co za różnica! - Machnął lekceważąco ręką.

Marissa ruszyła zwawo po ostatnie wazon. Miała nadzieję, że po drodze zgubi Justina, ale ją dogonił.

- To była druga randka, tak? - spytał.

- Trzecia - poprawiła go.

- No tak, trzecia. Kamień milowy w związku.

Chwyliła wazon, po czym odwróciła się do Justina i spojrzała na niego przez zmrużone oczy.

- Tylko dlatego, że ty się nie umawiasz, a jak już się umawiasz, kończysz znajomość po dwóch randkach...

Justin uniósł ręce.

- Jeśli Trevor chce wydać majątek na kwiaty, właściciel kwiaciarni będzie zachwycony. Ale poproś go, żeby wysłał je na domowy adres. Następnym razem mogę nie być w stanie wybawić cię z kłopotów.

- Wybawić mnie z kłopotów? -r- zdumiała się.

- Nie wspominając o tym, że wyglądało tu jak w domu pogrzebowym - ciągnął bezlitośnie. - Mamy leczyć pacjentów, a nie wachać róże.

- Nie prosiłam o nie - broniła się Marissa.

Zła i urażona, a także zdumiona atakiem, wyprostowała się i powiedziała oficjalnym tonem:

- Ma pan rację, doktorze. Jesteśmy tutaj dla pacjentów, więc proszę wybaczyć, muszę wracać, do pracy.

Opuściła stanowisko pielęgniarek, kierując się do pokoju numer sześć. Jeżeli szczęście jej dopisze, to gdy odejdzie od łóżka Lonniego Newlanda, nie spotka już Justina.

Tyle że Lonnie był pacjentem Justina, a zatem tak czy owak czeka ich rozmowa, ale przynajmniej Justin nie będzie się skupiał na jej życiu prywatnym. Ona zaś nie będzie myślała tylko o tym, by walnąć go basenem - najchętniej pełnym. Zanim dotarła do łóżka chorego, nabrała powietrza, a potem z uśmiechem przywitała się z jego żoną. Trzydziestoparoletnia Abby delikatnie myła zarosniętą kilkudniowym zarostem twarz męża.

- Witaj, Abby. Przyniosłam coś, żeby było milej.

Abby się uśmiechnęła, ale jej oczy pozostały smutne. Cienie pod oczami i przygarbione plecy tłumaczyła cięża i stres spowodowany faktem, że jej mąż od trzech miesięcy przebywa w śpiączce. Lonnie jechał motocyklem z Kansas City do domu, kiedy potracił go samochód. Niestety nie włożył kasku i doznał poważnych obrażeń głowy. Na neurologii zrobiono już wszystko, co się dało. Po krótkim pobycie w ośrodku długoterminowej opieki, gdy przyplątała się infekcja nerki, został z powrotem przeniesiony na intensywną terapię.

- Dziękuję. Bardzo ładne, prawda, Lonnie?

Abby wzięła sobie do serca radę neurochirurga. Mówiła do męża tak, jakby był przytomny i mógł jej odpowiedzieć. Chciała dostarczyć mu wszelkich możliwych bodźców, byle wydobyć go z tego stanu. Nachyliła się do ucha męża i dotknęła jego bladego ramienia.

- Powinieneś zobaczyć, co Marissa nam przyniosła. Cudowne goździki. Przypominają bukiet, który mi przysłałaś, jak dowiedzieliśmy się, że będziemy mieć dziec-

ko. Są różowe, żółte i niebieskie, z mnóstwem ozdobnych liści. Postawimy je na stoliku, żebyś czuł ich zapach.

Marissa życzyłaaby sobie, by woń kwiatów połączona z głosem żony przywróciła tego młodego przedsiębiorcę do żywych. Ale doświadczenie jej podpowiadało, że nic nie zapowiada szczęśliwego zakończenia. Z drugiej strony, zbyt długo pracowała na intensywnej terapii, by wykluczyć możliwość cudu.

- Spałaś trochę zeszłej nocy? - spytała, badając Lonniego i sprawdzając kroplówki oraz dreny.

- Trochę - przyznała Abby. - Ciężko mi samej. Nawet jak przyjeżdża siostra albo rodzice, dom jest taki pusty... - Zawiesiła głos i wzruszyła ramionami.

Marissa nie знаła odczuć Abby, ale czasami jej własny dom też wydawał się pozbawiony życia. Zwłaszcza po niektórych z przeciągających się wizyt Justina, kiedy grali w scrabble'a albo urządzali sobie maraton filmowy aż do świtu. Dziwne, że z nikim innym jej się to nie zdarzało...

- Ale nie jestem przecież sama. - Abby z uśmiechem pogłaskała brzuch. - Dziecko bardzo mi pomaga.

- Cieszę się.

Nikt nie wiedział, w jakim stanie byłby Lonnie, gdyby odzyskał przytomność. Mógłby wymagać miesięcy albo i lat terapii, zanim wróciłby do domu. Jeśli w ogóle by wrócił. Dziecko pozwoli Abby przetrwać niezależnie od tego, co szykuje dla niej los.

Abby wskazała notes, w którym Marissa zapisywała wyniki swoich oględzin.

- I jak z nim?

Nie mogąc przekazać dobrych wieści, Marissa wybrała stereotypową odpowiedź.

- Bez zmian.

Wargi Abby zadrżały.

- To chyba dobrze, prawda?

- Oczywiście. - Marissa przypuszczała, że to typowy przypadek szklanki do połowy pustej albo do połowy pełnej. Powiedzenie „bez zmian” nie jest może wielkim zastrzykiem nadziei, ale brzmi lepiej niż „jego stan się pogarsza”. - Jakie masz plany na dzisiaj?

- Chcę mu poczytać. Przyniosłam „Olivera Twista”.

- Proszę, sir, czy mogę wziąć jeszcze? - zacytowała Marissa.

- Znasz tę powieść?

- Czytałam książkę i widziałam film. Mówiąc szczerze, bardziej podobał mi się film. - Marissa się uśmiechnęła. - Ale to jedyna kwestia, jaką zapamiętałam, tylko niech to zostanie między nami.

Abby zaśmiała się jak dziecko.

- To będzie nasza tajemnica. - Pogłaskała twarz męża. - Prawda, kochanie?

Podejrzewając, że Abby będzie czytała, aż zachrypienie, Marissa poprosiła ją, by nie przesadzała.

- Nie bój się, mam po południu wizytę u lekarza. Potem się zdrzemnę, to polecenie lekarskie - dodała ze smutkiem. - Wrócę dopiero po kolacji. Zadzwoń, gdyby...

- Coś się zmieniło - obiecała Marissa. - A przy okazji, kiedy zaczynasz zajęcia w szkole rodzenia?

Abby ponownie pogładziła brzuch.

- W tym tygodniu.

- Masz już partnera do ćwiczeń?

- Rodzice i siostra mieszkają tak daleko. Brat Lonniego, Eric, zaoferował się, że go zastąpi.

- To dobrze, ale w razie czego daj mi znać. - Marissa

podała Abby numer swojego telefonu stacjonarnego oraz komórki kilka tygodni wcześniej.

- Oczywiście. - Abby lekko poklepała się po brzuchu. - Nie będę ryzykować.

Marissa skinęła głową, pewna, że to dziecko jest otoczone miłością i troską. Nawet jeśli nie jest w stanie pomóc Abby tak, jak by chciała, może zaopiekować się jej mężem. A nuż się obudzi, gdy jego dziecko przyjdzie na świat.

Jeszcze raz rzuciła wzrokiem na monitory nad głową pacjenta. Zadowolona z tego, co zobaczyła, poprawiła koc na nogach Lonniego.

- Zostawię was teraz - powiedziała z uśmiechem. - Będę w pobliżu.

Spokój opuścił ją, gdy tylko wyszła na korytarz. Postanowiła nie zwracać uwagi na Justina, a przynajmniej traktować go z chłodną obojętnością. Wkroczyła do pomieszczenia dla pielęgniarek gotowa do walki.

Ku jej zdziwieniu Justina tam nie było.

- Gdzie jest St. James? - spytała Kristi.

- Doktor Tremaine wezwał go na erkę. Wyszedł jakieś dziesięć minut temu. Jest ci potrzebny?

Justin St. James miałby być jej potrzebny?

- Nie w tej chwili. Chciałam tylko, żeby sprawdził leki dla pacjenta. - Nie miała ochoty dłużej o nim myśleć, więc zmieniła temat. - Kończą nam się strzykawki i zestawy do pobierania krwi. Może coś jeszcze przyjdzie ci do głowy, zanim napiszę zamówienie?

- W tej chwili nie.

Marissa porównała swoją listę z zawartością półek i szuflad w pomieszczeniu sąsiadującym z pokojem pielęgniarek. Szkoda, że jej życie nie jest tak poukładane.

Może warto zrobić swoją prywatną listę, stwierdziła i rozpoczęła w myślach wyliczanie. Ma nieduży dom, z którego jest zadowolona. Ma cairn terriera, towarzysza i powiernika. Ma cudownych sąsiadów, zwłaszcza Lucy Mullins, a także wspaniałych przyjaciół i mieszka w miejscu, gdzie nie brakuje sklepów ani rozrywek, wypełniających wolny czas. Czego jeszcze można pragnąć?

Męża. Dwójki dzieci. Rodziny.

Okej, więc tego jej brak. Marissa została wychowana przez babkę. Liczni mężowie jej matki nie życzyli sobie, by pasierbica kręciła im się pod nogami. To, że w ogóle pragnęła mieć rodzinę, zawdzięczała systemowi wartości babki. Gdyby mieszkała z matką i była świadkiem wszystkich turbulencji, jakie towarzyszyły jej związkom, mogłaby myśleć zupełnie inaczej. Ale to babka była jej ostoją i wzorem moralnym.

Od matki nauczyła się jedynie tego, by nie dać się zwieść czarującym uśmiechom. Była ostrożna, jeśli chodzi o mężczyzn, niektórzy powiedzieliby nawet, że wybredna. Owszem, to prawda, mimo to marzyła o założeniu rodziny przed trzydziestką. Został jej rok.

Ze wszystkich mężczyzn, z którymi się spotykała, Travis Pendleton był najbliższy ideału. Jeśli ich związek będzie się rozwijał tak dobrze, jak do tej pory, być może Marissa zrealizuje swoje marzenie przed czasem. Ciekawe, jak Justin przyjmie wiadomość o jej ślubie. Na pewno będzie zaskoczony i spróbuje wybić jej to z głowy.

Nie mogła się doczekać, kiedy zobaczy jego minę.

Justin kręcił się w odległym końcu pokoju. Marissa, która siedziała przy komputerze, nie widziała go. Chyba była w dobrym nastroju, choć nie rozstali się w zgodzie.

Zresztą nawet jeśli humor jej nie dopisywał, on zawsze potrafił odzyskać jej łaski. Był przekonany, że znów mu się uda.

No, może tym razem będzie trudniej Zdyskredytował mężczyznę, który przysłał jej więcej kwiatów, niż niejedna kobieta dostaje przez całe życie. To nie było najmańdsze. Powinien wiedzieć, że Marissa poczuje się w obowiązku bronić tego człowieka. Problem w tym, że sam nie do końca rozumiał, dlaczego tak się wściekł.

Jesteś zazdrosny.

Słowa Marissy odezwały się echem w jego głowie. Akurat! Po prostu nie chciał, by wpadła w sidła mężczyzny, który poza urodą nie ma się czym pochwalić. Zrobi wszystko, by uratować przyjaciółkę przed popełnieniem błędu, jaki on sam ma na sumieniu.

Zresztą Marissa potrafi trafnie oceniać ludzi, ale dotąd żaden mężczyzna nie posunął się tak daleko, by ją omotać. Taki gest pod publiczność żadnej kobiety nie pozostawiłby obojętną. Justin miał święty obowiązek zrobić co w jego mocy, żeby ten fircyk jej nie zaślepił, bo kiedy odzyska wzrok, może być za późno.

Przysiągłby, że wciąż czuje zapach kwiatów, a nawet, że jego ubranie przesiąkło wonią tych cholernych róż.

W momencie, gdy chciał ujawnić swoją obecność i powiedzieć Marissie o nowym pacjencie, zadzwonił telefon. Przyglądał się, jak z kimś rozmawia z tym swoim radosnym zaśpiewem w głosie. Wystarczyło ją słyszeć, by zgadnąć, że uśmiech nie schodzi z jej twarzy. Dlatego właśnie każdego wieczoru starał się zamienić z nią choć kilka słów, osobiście lub przez telefon. Sam dźwięk jej głosu podnosił go na duchu, niezależnie od tego, w jakim był nastroju.

Długie jasnobrązowe włosy związała w koński ogon, a nie zaplotła, więc pewnie dziś zaspiała. Wyglądała zbyt młodo jak na szefową zmiany, ale ci, którzy naiwnie sądzili, że młodzieńczy wygląd i doświadczenie wykluczają się nawzajem, szybko byli wyprowadzani z błędu.

Włożyła długopis za ucho, przyciągając uwagę Justina do swojej twarzy. Mimo odległości widział kształtny łuk jej warg. Dotknęła margerytki.

Wiedział, jak delikatny jest jej dotyk - widział, jak wspaniale obchodziła się z pacjentami. Nieraz masowała mu też plecy, kiedy był po pracy wykonany.

Jednak najbardziej lubił jej oczy. Kiedy w nie patrzył, to tak jakby widział rozmaite oblicza Atlantyku. Ale czy lśniły ożywione, czy wyrażały szczerą troskę, nie odkrywały jej duszy do końca. Wciąż, mimo wielu lat przyjaźni, pozostała dla niego tajemnicą.

Czasami tak jak teraz zastanawiał się, dlaczego nie znalazła mężczyzny, z którym spędziłaby życie. Z drugiej strony, zważywszy, że jej matka właśnie wyszła za mąż poraż czwarty, rozumiał, czemu nie spieszyło jej się do małżeństwa. Niezależnie od tego Justin dostrzegał też własny wpływ na Marisę. Po swoim fatalnym doświadczeniu przysiągł sobie, że nie dopuści do tego, by jego przyjaciele dali się zwieść pozorom.

Może nie byłby aż tak zawzięty, gdyby ktoś ostrzegł go przed Chandrą. Jej piękna twarz i figura modelki skrywały wyrachowany umysł i twarde serce. W ciągu sześciu miesięcy małżeństwa wyczyściła ich konto w banku. „Ponieważ ciebie na to stać, kochanie, a ja muszę dbać o swój wizerunek” - tłumaczyła słodko.

Ładny wizerunek! Sypiała z urzędnikiem bankowym z działu pożyczek, który pomagał im uzyskać środki

na ich pierwszy dom. Miała romans z księgowym, dentystą i weterynarzem. Eskapady Chandry zabiły wszelkie uczucia, jakie dla niej żywił. Czy w ogóle ją kochał? Czasami tak mu się zdawało, ale nie był pewien. Prawdziwej miłości nie da się tak łatwo zabić, a on tęsknił za Maisie, francuskim pudlem Chandry, bardziej niż za nią.

W końcu Chandra się wyprowadziła, zmęczona próbami ratowania ich małżeństwa. Wątpił, czy kiedykolwiek go kochała. Może kochała jego karierę, jego przyszłe dochody i status, ale nie jego samego. Gdyby nie był tak zaślepiiony pożądaniem, dostrzegłby w niej te wszystkie wady, które zauważali przyjaciele z uczelni. Zauważali, tylko nic mu nie mówili. Teraz, nauczony doświadczeniem, nie zasnąłby w nocy, wiedząc, że może uratować przyjaciela.

Ale na razie musi odłożyć prywatne rozmowy i zająć się nowym pacjentem. Podszedł do Marissy.

- Już jestem - oznajmił.
- Jak miło.

Jej chłodny ton działał mu na nerwy, ale zasłużył sobie na to. Zanim spróbował ją przeprosić, wskazała na monitor drugiego komputera.

- Przejrzyj moje zapiski na temat Newlanda. Dzwonili z apteki z pytaniem, czy zamawiamy te same leki, więc gdybyś mógł...

- To musi poczekać. Przyjmuję siedemdziesięcioletnią kobietę, która cierpi na zapalenie opon albo mózgu. Trzeba jej zrobić nakłucie lędźwiowe. - Przerwał mu dzwonek windy. - To pewnie ona - dodał.

Marissa wstała i obeszła biurko.

- Położę ją w dwójce.
- Zaczekaj.

Przystanąła w pół kroku.

- Najpierw chcę ci coś powiedzieć.
- Co? - Na jej twarzy dojrzał zniecierpliwienie.
- To Lucy.
- Jaka Lucy?
- Lucy Mullins.

Marissa stała chwilę nieruchomo.

- Moja Lucy?

Przytaknął, patrząc na nią z troską.

Lucy Mullins była sąsiadką Marissy. Żadna z nich nie miała rodziny, którą mogłaby się pochwalić. Justin wiedział, że Lucy ofiarowała Marissie przyjaźń, domowe ciasta i matczyne rady.

Smutek w oczach Marissy zastąpiło zdecydowanie.

- Jak tylko ją przygotuję do nakłucia, dam ci znać.

Ruszyła przed siebie, ale Justin położył jej dłoń na ramieniu.

- Co znowu? - rzuciła.
- Poproś Kristi, niech cię zastąpi.

Spojrzała na niego z niedowierzaniem.

- Lucy jest moją pacjentką.

Pokręcił głową, świadomy, że nie spodoba jej się to, co powie, podobnie jak komentarz na temat Pendletona.

- Dzisiaj nie jest.

ROZDZIAŁ DRUGI

Justin był przygotowany na wybuch złości Marissy, ale liczył na to, że zdoła ją przekonać.

- Lucy jest moją pacjentką - warknęła. - Nie tylko dlatego, że ja mam dwóch pacjentów na głowie, a Kristi już trzech, ale to ja przydzielam tu obowiązki.

Podkreśliła słowo „ja”. Justin wierzył, że lepiej będzie, gdy Marissa na moment się usunie.

- Jesteś związana emocjonalnie z tą kobietą - zauważył. - Nie będziesz obiektywna.

- Nie będę obiektywna?

- To tak, jakby lekarz zajmował się członkiem swojej rodziny. Nie oburzaj się. Po prostu myślę...

Marissa podeszła tak blisko, że czuł jej oddech.

- Więc nie myśl. Nie masz prawa zabraniać mi podejmowania decyzji. Jestem starszą pielęgniarką i to ja decyduję, kto opiekuje się tu pacjentami.

- Wiesz, że gdybym z kimś porozmawiał, wygrałbym!

Znowu otworzyła usta, po czym je zacisnęła. Gdyby Justin porozmawiał z przełożoną pielęgniariek, ona nie miałaby nic do powiedzenia. Nie wspominając o tym, że Lorraine mogłaby przenieść ją na inny oddział na czas pobytu Lucy. '

- Z pewnością - rzekła cicho. - Ale czy na moim miejscu nie chciałbyś się zająć Lucy? Jest dla mnie ważna, i właśnie dlatego zrobię wszystko, żeby jej pomóc.

- Rozumiem, ale...
- Dam radę - upierała się. - Nie rób tego Lucy.

Zawahał się. Lucy nigdy nie kryła, że nie znosi szpitali. Mając wybór, wolałaby, by to Marissa się nią opiekowała. Do diabła, on też chciałby mieć Marissę obok, gdyby poważnie zachorował. Ale jeśli Lucy dostanie konwulsji lub wystąpią komplikacje, wolałby nie niepokoić się, że emocje nie pozwolą Marissie sprawnie działać.

- Czy kiedyś cię zawiodłam?

Patrzyła mu prosto w oczy, więc nie mógł skłamać.

- Nie.

- Tym razem też cię nie zawiodę.

Pielęgniarka z erki zatrzymała się obok nich.

- Gdzie mamy jechać?

Marissa nie odrywała wzroku od Justina.

- Do dwójki - powiedziała.

Gdy pielęgniarka pchnęła łóżko szpitalne we wskazanym kierunku, Marissa spytała:

- I co?

Justin wciąż nie mógł się zdecydować.

- Gdybyś nie dawała rady...

- Sama się odsunę - zakończyła czym prędzej.

Przyjrzał się jej. Zawsze była uczciwa, mimo to chciał, żeby wszystko było absolutnie jasne.

- Na pewno?

- Tak. Zdrowie Lucy jest najważniejsze.

- Żadnych kłótni?

- Żadnych - obiecała.

- No to do roboty.

No to do roboty! Jakby to ona go zatrzymywała, pomyślała z irytacją. A jednak była Justinowi wdzięczna, że

wygrała walkę o opiekę nad kobietą bliższą jej sercu niż rodzona matka.

Opalona twarz Lucy była blada. Jej wargi tworzyły cienką linię, jak u człowieka, który cierpi. Była drobnej budowy, ale jej żywotność kompensowała niedostatki ciała, gdy krzątała się po ogrodzie i angażowała w rozmaite działania. Osoba o połowę młodsza nie dałaby jej rady. Teraz ledwie było ją widać pod kołdrą. Marissa omal nie wydała okrzyku zdumienia, lecz mężczyzna, którego usiłowała ignorować, wzięłyby jej reakcję za oznakę słabości.

- Przepraszam za kłopot. - Lucy uśmiechnęła się lekko, mówiąc drżącym głosem.

- Żaden kłopot - odparła Marissa. - Jesteśmy tu po to, żeby się tobą zaopiekować. Zaraz położymy cię do prawdziwego łóżka. Tylko leż, a my się wszystkim zajmujemy.

Odliczywszy do trzech, przenieśli Lucy na łóżko.

Po wyjściu pielęgniarki z erki Marissa przyniosła dodatkową poduszkę i koce, świadoma, że Justin ją obserwuje. A gdy podłączyła Lucy do monitorów i sprawdziła objawy czynności życiowych, zapytała:

- Od dawna źle się czujesz? Powinnaś mi była coś powiedzieć.

- To nic. - Lucy chciała machnąć ręką, ale zrezygnowała. - Dostałam strasznego bólu głowy i kark mi zeszywniał. No i miałam nudności. To pewnie grypa, chociaż nikt mnie nie słucha. - Rzuciła złowrogie spojrzenie w stronę Justina.

Marissa zdawała sobie sprawę, że jego podejrzenia są o wiele poważniejsze.

- Sprawdzimy, czy to grypa - odparła.

- Przejrzę wyniki badań laboratoryjnych, które pani zrobili - włączył się Justin. - A potem wrócę, dobrze?

Lucy skinęła głową i zamknęła oczy.

- Chyba się zdrzemnę.

- Dobry pomysł. - Justin spotkał się wzrokiem z Marissą i wskazał na drzwi. - Nie spuszczaaj jej z oka - rzekł cicho, gdy stanęli na korytarzu. - Chwilami dostawała drgawek.

Marissa czuła się winna, ponieważ nie spostrzegła, że Lucy coś dolega. Już miała to na końcu języka, ale się powstrzymała. Nie da Justinowi żadnych podstaw, by zastąpił ją inną pielęgniarką.

- To nie twoja wina - rzekł Justin.

Zdumiało ją, że czytał w jej myślach.

- Co?

- Że nie zauważyłaś, jak bardzo jest chora.

- Kto powiedział, że czuję się winna?

- Zgaduję to po twojej minie. Lucy należy do osób, które cierpią w milczeniu, więc nie obwiniaj się, że nie dostrzegłaś jej choroby. Okej? - Spojrzał jej w oczy.

- Okej.

- Dobrze - powiedział zadowolony. - Zacznę, jak będziesz gotowa.

- Daj mi dwie minuty.

Kiedy wróciła ze sprzętem i materiałami, Justin trzymał najnowsze wyniki badań Lucy i wyjaśniał jej, na czym polega zabieg.

- To niezbyt przyjemne - uprzedził z uśmiechem.

Lucy znów przymknęła oczy.

- I tak mnie wszystko boli, więc pewnie tego nawet nie zauważę.

Poklepał ją po ręce, patrząc na nią ze współczuciem.

- Obiecuję, że dojdziemy, co się za tym kryje.

- Dziękuję - szepnęła Lucy. Z jej oczu popłynęły łzy.

Pociągnęła nosem. - Pewnie pan myśli, że ze mnie stara, głupia baba - rzekła załamującym się głosem.

- Niedługo będzie pani znów pielic petunie. - Puścił do niej oko.

Marissa z trudem kryła wzruszenie, stawiając tacę na stoliku. W kontakcie z pacjentami starała się zachować obiektywizm. A jednak widok tej na pozór niepokonanej kobiety w takim stanie sprawiał jej ból. Stanowczość i przekonanie Justina działało na nią równie kojąco jak na Lucy. Co prawda omal nie sięgnęła po chusteczkę z pudełka, które Justin podał pacjentce, ale gdyby to zrobiła, zostałaby natychmiast od chorej odsunięta. Podziwiała Justina za to, że zawsze wiedział, co powiedzieć. Lucy nie byłaby usatysfakcjonowana, słysząc, że ma się nie martwić. W przeciwieństwie do wielu osób, wołała znać prawdę, nawet niemiłą. A Justin właśnie to jej obiecał.

On nie ustąpi, póki nie dotrze do sedna. Marissa zastanawiała się, czy jego pacjenci mają świadomość, jak głęboko angażuje się w ich leczenie. Pewnie nie mają o tym pojęcia. W trudnych przypadkach potrafił godzinami badać symptomy i konsultować się ze specjalistami.

Nic dziwnego, że jego życie osobiste w zasadzie nie istniało. Odkąd jego żona spakowała walizki i zostawiła go w dniu, gdy otrzymał dyplom, częściej sypiał w pokoju służbowym w szpitalu niż we własnym łóżku.

Częściej sypiał też na sofie u Marissy.

- Ufam wam obojgu - rzekła Lucy, ocierając oczy.
- Proszę mi jeszcze raz powiedzieć, jak wbije pan tę igłę.

Justin uniósł brwi i spojrzał na Marissę. Najwidoczniej zapomniał, że z racji wieku Lucy ma prawo mówić wprost. Twierdziła, że gdy człowiek znajduje się na

równi pochyłej życia, jeśli od razu nie powie tego, co myśli, może już nie mieć drugiej szansy.

- Prawdę mówiąc, będę ją wsuwał, nie wbijał.

Lucy machnęła ręką.

- Jak by na to nie spojrzeć, wsadzi mi pan ostre narzędzie w plecy.

- Ale na krótko.

- I nie martw się - wtrąciła Marissa. - Zrobi to jak najdelikatniej.

- Będę wdzięczna - rzekła Lucy.

Marissa ścisnęła ją za rękę, po czym przygotowała narzędzia. Pracowała z Justinem wiele razy, wszystko robili już automatycznie. A ponieważ nie musiała zastanawiać się nad każdym jego ruchem, skupiła uwagę na jego rozmowie z pacjentką. Justin opisał jej całą procedurę, posługując się zarówno fachowymi, jak prostymi słowami.

Lucy się uspokoiła, o czym świadczył wykres na monitorze rejestrującym pracę serca. Marissa pomyślała, że kojące brzmienie głosu Justina przyczyniło się do tego w równej mierze, co jego rzeczowe wyjaśnienia. Nakłucie lędźwiowe nie jest tak proste, jak to przedstawił, lecz mówił z taką pewnością i profesjonalizmem, że nawet najbardziej nerwowy pacjent przestałby się bać.

Zresztą Justin był po prostu najlepszy, mimo że jego ręka nigdy nie wróciła do normy po obrażeniach, jakich doznał podczas wypadku samolotu. Musiała mu to przyznać nie tylko przez wzgląd na lojalność. Pracowała z wieloma lekarzami, których umiejętności wahały się od średnich po wyjątkowe. Wiedziała, któremu z nich zaufałyby bez zastrzeżeń. Lucy nie mogła lepiej trafić.

- Jeśli nie ma pani więcej pytań, zaczniemy. - Justin dał Marissie znak, by pomogła Lucy zmienić pozycję.

- Dobrze, ale nadal uważam, że robicie za dużo szumu z powodu bólu głowy i sztywnego karku - mruknęła Lucy.

- Ja nie robię szumu, tylko troszczę się o pacjentów.
- Justin włożył sterylne rękawiczki.

- Od dawna źle się czujesz? - spytała Marissa, bo Lucy nie odpowiedziała wcześniej na to pytanie.

Trzy dni temu Lucy krzątała się w ogrodzie. Poprzedniego wieczoru Marissa zamieniła z nią tylko kilka słów, ale nic nie zapowiadało takiego stanu rzeczy.

- Jakiś tydzień.

- Tydzień? - przeraziła się Marissa. - I słowem nie wspomniałaś?

- Kochanie, w moim wieku będziesz lekceważyć takie drobiazgi. Gdybym szła do lekarza za każdym razem, jak coś mnie boli, nie wychodziłabym z poczekalni.

- Szkoda, że pani do mnie nie przyszła - odparł Justin, zerkając na Marissę i przypominając sobie ich rozmowę na temat wyrzutów sumienia. - A moja poczekalnia wymaga odświeżenia.

- Odświeżenia? - spytała Marissa. - Nie wierzę, że wreszcie to przyznałeś.

- Nie jestem całkowitym abnegatem - bronił się.
- Krzesła w kolorze zielonego groszku i złota tapeta nie działają kojąco na ludzi.

Marissa patrzyła na niego zdumiona.

- Naprawdę to dostrzegasz?

- Tak, ale jeśli zaczniesz mi znowu suszyć głowę, żebym odmalował dom i kupił meble... - W jego głosie pojawiła się ostrzegawcza nuta.

- Dlaczego miałabym to robić? - spytała niewinnie, dodając w myślach jego krawaty do listy rzeczy wymaganej

jących zmiany. - Ilekcio o tym napomykam, to jakbym rzucała grochem o ścianę.

Przez kilka lat usiłowała go przekonać, by nadał osobisty charakter domowi, który kupił po przeprowadzce do Hope. Człowiek o takiej pozycji potrzebuje czegoś więcej niż łóżko, komoda, stół z dwoma krzesłami i sofa z drugiej ręki. Ale on podkreślał, że spędza więcej czasu w szpitalu i w jej domu niż w swoim, więc jakie to ma znaczenie, że ściany są gołe, a on nie zapchał każdego kąta meblami?

- No i świetnie.

Podczas gdy Justin podwyższył łóżko, Marissa pomogła Lucy zgiąć nogi w kolanach i rozluźnić kark.

- Może pani poczuć zimno. - Justin przetarł skórę Lucy wacikiem nasączonym środkiem antyseptycznym.

Lucy głośno wciągnęła powietrze.

- Naprawdę nie chcę myśleć o tym, co pan robi - zaczęła. - Że służę za poduszkę do igieł. Wolałabym poplotkować.

- O czym?

- O kwiatach.

- O kwiatach? - spytała Marissa. - Twoje petunie wspaniale się prezentują.

- Nie o tych. Mówię o tych z pokoju pielęgniarek.

- Ach, te. - Marissa nagle znieubiła te kwiaty.

- Tak, te. Poczulałam zapach róż, chociaż żadnej nie widziałam.

Marissa westchnęła w duchu. Być może gest Trávisa był miły, ale wywołał za dużo zamieszania.

- Mieliliśmy tutaj róże - przyznała - ale już ich nie ma.

- Aha. - Na twarzy Lucy malowała się satysfakcja.

- Jestem stara, ale węch mnie nie zawodzi.

- Prawdę mówiąc - dodał Justin - Marissa dostała mnóstwo różnych kwiatów. To ogromnie podniecające, prawda, Mari?

Zmarszczyła czoło, pragnąc mu powiedzieć, by się zamknął. Jeśli zechce porozmawiać z Lucy o kwiatach, zrobi to bez świadków. Ale Justin wywołał temat i już nie miała wyboru...

Justin nie miał ochoty rozmawiać o tych cholernych kwiatach, gdyż czuł, że nie spodoba mu się to, co usłyszy. Ale skoro rozmowa odwraca uwagę Lucy od zabiegu, jakoś to wytrzyma. A może jest cierpiętnikiem, ponieważ chciał dokładnie wiedzieć, co skłoniło Pana Krezusa do zainteresowania się Marissą. Travis Pendleton nie sprawiał wrażenia człowieka, który interesowałby się pracującą dziewczyną. Zwłaszcza że, jak głosiły plotki, miał awansować ze stanowiska administratora Hope na podobne stanowisko w większej metropolii. Był to pierwszy krok w drodze do celu, czyli fotela senatora. Modelka czy córka rekina biznesu byłyby bardziej w jego stylu.

- Przysłał mi dzisiaj siedem bukietów - wyznała Marissa, a jej policzki przybrały odcień ciemnego różu. - Bardzo mnie... zaskoczył.

Justin zdziwił się, że Marissa mówi takim tonem, jakby to był problem. Większość kobiet nie posiadałaby się z radości, a Marissa wydawała się zażenowana. Ale Travisowi zapewne nie przyszło do głowy, że ona nie lubi zwracać na siebie uwagi. Gdyby choć trochę ją rozumiał, wiedziałby, że siedem bukietów to przesada. Niestety, rozmowa na temat niedoskonałości Trvisa musi poczekać.

Dawniej Justin wykonywał nakłucie łądzwiowe z zamkniętymi oczami. Po złamaniu ręki w wypadku, w któ-

rym zginał jeden z lekarzy z Hope, a kilku zostało rannych, dopiero po długiej rehabilitacji powrócił do tego zabiegu. Zadowolony, że odzyskał osiemdziesiąt procent sprawności, był równocześnie zły, że to wciąż nie pełna sprawność. Lucy czy inny pacjent nie zasługiwali na to, by leczył ich ktoś, kto nie jest w najlepszej formie. Najmniejszy błąd stanowi zagrożenie dla pacjenta.

Kiedy Justin podnosił igłę z tacy, chwycił go kurcz i igła wyśliznęła się z palców, jakby jego ręka była świadoma jego stresu. Na szczęście igła wylądowała na tacy, a nie na podłodze. Przez sekundę patrzył na nią, świadomy bliskości Marissy. Był jej wdzięczny, że nie obrzuciła go pełnym litości spojrzeniem, jak zrobiłoby tyle innych pielęgniarek. Nie zaproponowała też, by ktoś go zastąpił.

Poruszał palcami ręki, by pozbyć się skurczu i wtedy spotkał się wzrokiem z Marissą. Ufność, jaką ujrział w jej zielonych oczach, dodały mu wiary w siebie.

Westchnąwszy cicho, podniósł igłę. Tym razem się udało. Poczul ulgę i wrócił wzrokiem do Marissy, której szeroki uśmiech i uniesiony kciuk były więcej niż nagrodą.

- Pewnie dostałaś je od tego młodego mężczyzny, który był u ciebie wczoraj wieczorem - zauważyła Lucy.

- Tak - przyznała Marissa.

- Miły gest.

- Owszem, miły.

Justin miał ochotę zauważyć, że gdyby Travis był tak miły, jak im się zdaje, nie przysłałby więcej kwiatów, niż niektórzy dostają na pogrzebie. A tym bardziej nie wysyłałby ich na oddział, gdzie kwiaty mogą tylko przysporzyć kłopotów.

- I otworzył ci drzwi samochodu - podjęła Lucy.

- Podglądałaś? - Marissa wydawała się przerażona, co zabolęło Justina. Co oni takiego robili, że nie chciała, by Lucy to widziała?

- Oczywiście, moja droga. Nigdy dość ostrożności, jeśli chodzi o obcych, którzy kręcą się po okolicy. Ale on miał doskonałe maniery, to niezwykle w tych czasach.

- To prawda - zgodziła się Marissa.

Justin zmarszczył czoło. O co chodzi tym kobietom? Domagają się niezależności, ale kiedy ktoś poda im płaszcz albo otworzy drzwi, pieją z zachwytem. Mężczyźni po prostu nie mogą z nimi wygrać.

Spędził z Marissą mnóstwo czasu przez wiele lat i nigdy nie traktował jej jak kumpla. Może nie był otwarcie troskliwy, ale zawsze korzystał z nauk swojej matki.

- Nie powiedziałbym, że otwieranie drzwi kobiecie jest czymś wyjątkowym - rzekł, wpuszczając płyn ze strzykawki do specjalnej probówki. Płyn był przejrzysty i pozbawiony krwi, co stwierdził z zadowoleniem.

- Zdziwiłbyś się - odparła ponuro Marissa.

Justin nie uważał, że Travis, ten Cud Najprawdziwszy, zrobił coś niespotykanego, chciał jednak wiedzieć, co robi wrażenie na kobietach. Nigdy nie wiadomo, kiedy taka banalna informacja może się przydać.

- Czego dzisiejsze kobiety oczekują od mężczyzn?

- Mój Boże! - zdumiała się Lucy. - Chyba nie zapomniął pan, jak zabiegać o względy kobiety.

- Nie. Od czasu do czasu umawiam się na randki.

- Doprawdy? - spytała sceptycznie Marissa, i miała do tego pełne prawo. Medycyna zajmowała pierwsze miejsce w jego życiu, i tylko z rzadka spotykał się z kobietą. Zwykle spędzał wolny czas, grając w koszykówkę z kolegami albo oglądając filmy z Marissą.

- Tak - zapewnił. - Byłem na balu walentynkowym. A wcześniej na przyjęciu bożonarodzeniowym w szpitalu. I nie zapominaj o święcie na zakończenie żniw w sierpniu. Na takie imprezy zawsze przychodzę w towarzystwie kobiety.

- Trzy randki w ciągu roku? - spytała z niedowierzaniem Lucy. - Nic dziwnego, że jest pan sam.

- Na pewno więcej niż trzy - oburzył się. - Tylko że nie pamiętam. Tak czy owak, nie zaszkodzi poznać pragnienia kobiet. Czym na przykład imponuje ci ten Trent?

- - Travis - poprawiła go Marissa.

- Wszystko jedno. Wczoraj padało, więc pewnie rozłożył marynarkę na ziemi, żebyś przeszła suchą nogą.

- Nie, ale miał parasol.

Prognozy nie przewidywały opadów, toteż Justin był pod wrażeniem.

- Prawdziwy harcerz.

- Zazdrosny?

Zerknął na Marissę i dojrzał w jej oczach pytanie.

- Raczej nie. Chociaż sądziłem, że lubisz spacer w deszczu.

Nie chciał, by zabrzmiało to oskarżycielsko, ale tak się stało. Pewnie dlatego, że wciąż miał w pamięci kilka sobotnich popołudni, kiedy we dwoje przechadzali się po parku podczas dżdżystej pogody, by Marissa pooddychała świeżym powietrzem. Towarzyszył jej, mimo że nie lubił moknąć, bo była w tym jakaś dziecięca radość. Bywało, że stres związany z pracą go przytłaczał, a podczas tych spacerów zapominał, że od niego zależy czasem ludzkie życie.

- Kiedy jestem odpowiednio ubrana, ale nie wtedy, kiedy mam na sobie lekką suknię i szpilki.

- Wiesz, moja droga - wtrąciła Lucy - ten Travis to wspaniały człowiek. Dobrze się bawiłaś?

- Tak - odparła bez wahania.

- Czy to ten jedyny?

Marissa się zawahała, a zatem miała jakieś zastrzeżenia, a przynajmniej wątpliwości. Wątpliwości są dobre, pomyślał Justin. Gdyby posłuchał wewnętrznego głosu, który ostrzegał go przed Chandrą, uniknąłby wielu problemów.

- Jeszcze nie wiem - odrzekła w końcu.

Justin odetchnął.

- Nie spiesz się - powiedziała Lucy. - Lat ci nie ubywa, biologiczny zegar tyka, ale nie zaszkodzi nabrać pewności.

- No właśnie - dorzucił Justin.

- Chociaż - ciągnęła Lucy - nigdy nie rozumiałam, dlaczego wy nie jesteście razem.

- Poznałam Trávisa dopiero kilka tygodni temu. - Marissa sprawiała wrażenie zaskoczonej.

- Nie o nim mówię, tylko o tobie i Justinie.

Justin omal się nie zakrztusił.

- Ja i Justin? - zapytała Marissa.

Ja i Marissa? - pomyślał Justin. Skąd Lucy przyszło to do głowy? A jednak nie wzdrygnął się z przerażenia. Spędzali razem parę wieczorów w tygodniu, odkąd przeprowadził się do Hope, chadzali razem na kolację i do kina, ale łączyły ich platoniczne uczucia. Najczęściej płacili każde za siebie, chociaż zdarzyło się, że Justin zostawił portfel w służbowym ubraniu i Mari płaciła za hamburgery czy bilety.

Ale zawsze się z nią rozliczał... Ściągnął brwi, usiłując przypomnieć sobie, jak to naprawdę było, po czym uznał,

że to bez znaczenia. Ważniejsze, by pojął, co doprowadziło Lucy do takiego wniosku.

- Skąd pani to przyszło na myśl? - spytał.

- Dużo czasu spędzacie razem - odparła, nieświadoma napiętej atmosfery. - Często widujecie się w szpitalu, a wieczorami wpada pan do Marissy.

Dlaczego nigdy nie zauważył, że tak zwane randki planował jak spotkania z fizjoterapeutą, podczas gdy z Marissą spotykał się codziennie?

- Jesteśmy przyjaciółmi, Lucy. Justin nie jest w moim typie - stwierdziła Marissa dobitnie. Jeśli o nią chodzi, pomysł Lucy jest zupełnie nierealny.

Justin, zamiast się uspokoić, poczuł się urażony. Co takiego jej się w nim nie podoba? Owszem, mają różne gusta - on woli kawę niż herbatę, ona lubi golf, on zaś koszykówkę i futbol, ona preferuje ostre dania, po których on ma zgagę. A mimo to zawsze przy niej mógł powiedzieć, co myśli, nie martwiąc się, że ją obrazi.

Ale jeżeli ona woli wygadanego Trvisa Pendletona, to trzeba wybić jej to z głowy.

- Ja też nie jestem w jego typie - dodała Marissa.

- Gdyby nie to, że, pracujemy w szpitalu, nic by nas nie łączyło.

Chciał zaprotestować, ale wtrąciła się Lucy:

- Bzdura. To dobrze, kiedy ludzie się różnią. Nie zominaj, jak dobrze się dogadujecie. Macie mocne fundamenty, szkoda, żebyście na nich nic nie zbudowali.

- Chyba ponosi cię wyobraźnia - rzekła Marissa uprzejmie. - Łączy nas przyjaźń. Zresztą Justin jest zatwardziałym kawalerem, więc tracisz czas, bawiąc się w swatkę. Prawda, doktorze?

Jej opis go zabolął. Kawaler, owszem, ale zatwar-

działy? Tak, wolał związki bez zobowiązań, lecz w wersji Marissy zabrzmiało to... jakby był uparty, a nawet samolubny.

Pragnął tego, co wszyscy mężczyźni - przytulnego domu i ciepłej żony. Kłopot w tym, że za pierwszym razem fatalnie trafił i potwornie bał się powtórzyć ten błąd.

Wyjaśniłby Lucy, z czego wynikają jego obawy, ale chciał już zakończyć zabieg i rozmowę, która przypominała mu o straconych złudzeniach.

- Skończyliśmy. - Wyjął igłę i przycisnął gazik w jej miejsce. Poczował ulgę, że obyło się bez kolejnej wpadki. Zamierzał udowodnić, że specjaliści się mylą, Zrobił większe postępy, niż się spodziewano.

- Nie było tak strasznie - rzekła Lucy. - Muszę koniecznie powiedzieć Morrisowi, że niepotrzebnie się tak przejmował. Mój mąż jest taki dobry.

Wiedząc, że Lucy jest wdową od dziesięciu lat, Justin spojrzał pytająco na Marissę, która wzruszyła ramionami.

- Czekaj na mnie - dodała Lucy rozmarzonym głosem.

- Lucy - zaczęła Marissa z wahaniem. - Twój mąż...

- No tak. Poszedł do sklepu ogrodniczego po nawóz dla róż i spray na komary. Mieliśmy tyle opadów w tym roku, że komary są naprawdę nieznosne. Nie gniewajcie się, ale jestem senna. I nie martwcie się - dodała Lucy, jakby wyczuła ich niepokój. - Morris mówi, że szybko dojdę do siebie.

Justinowi zabrakło słów. Wspomnienie męża wyraźnie przyniosło Lucy ukojenie. Wymienił spojrzenie z Marissą, po czym przeniósł się do rogu pokoju, by zrobić notatki. Jednym uchem słuchał łagodnego głosu Marissy, która prosiła Lucy, by nie ruszała się co najmniej przez

godzinę. Sądząc ze stanu starszej pani, trudno było oczekiwać, że zechce wstać.

- Potrzebuję liczbę krwinek, poziom glukozy i białka i posiew - rzekł, gdy Marissa podeszła. - Trzeba jej też zbadać krew na obecność wirusa Zachodniego Nilu. Zadzwoń do mnie, jak dostaniesz wyniki.

- Wirus Zachodniego Nilu? - zdziwiła się.

- To dopiero początek sezonu, ale sama wspomniała o komarach.

- Na wyniki testu na obecność tego wirusa trzeba czekać dwa dni. - Westchnęła. - Zaskoczyło mnie, że mówiła o swoim mężu, jakby żył.

- Mnie też. Obserwuj ją. - Podał jej swoje notatki.

Jego spojrzenie padło na doniczkę z kwiatami. Zaciśnął wargi. Nie wiedział, dlaczego przesadny gest Pana Administratora tak działał mu na nerwy. Jeśli Pendleton chce wydać setki dolarów na kwiaty, nikt go nie powstrzyma.

Po chwili Justin zdenerwował się jeszcze bardziej, widząc kwiaty w pokoju Newlanda, jednak niczego po sobie nie pokazał. Kiedy skończył badać pacjenta i porozmawiał z jego żoną, miał kompletnie dość kwiatów.

- Dzwoń, jak by co - rzucił do Marissy bardziej szorstko, niż było to konieczne, po czym uciekł od słodkiej woni unoszącej się na oddziale. Niestety, nie mógł uciec przed słowami Lucy.

„Nigdy nie rozumiałam, dlaczego nie jesteście razem... mocne fundamenty...”

Przyjaźń Justina z Marissą zaczęła się pierwszego dnia kursu francuskiego, gdy wśliznął się na krzesło obok dziewczyny o brązowych włosach i oczach, które zależnie od nastroju przybierały odcień błękitu lub zieleni.

Słuchała pilnie i sprawiała wrażenie, że rozumie wszystko, co mówił profesor, podczas gdy on siedział zagubiony.

Marissa pomogła mu przejść przez ten kurs. Odkrył, że jest nie tylko inteligentna i ma dobre serce, ale potrafi też słuchać. Ich wspólne zainteresowanie medycyną scementowało tę przyjaźń, chociaż on wybrał profesję lekarską, ona zaś pielęgniarstwo.

Wysyłali sobie życzenia na Boże Narodzenie. On robił to za pośrednictwem poczty elektronicznej i zwykle po czasie. Te coroczne kontakty słabły, aż w końcu się urwały, kiedy Justin poślubił Chandrę Weaver. Ich losy połączyły się dopiero w Hope, po jego rozwodzie. Od tamtej pory wydawało się, że są nierozłączni.

Najbardziej go zdumiewało to, że Marissa wciąż jest sama. Twierdziła, że czeka na właściwego mężczyznę. Ale czy ci wolni mężczyźni są ślepi? Tak czy owak, nie chciał, by popełniła ten sam błąd co on, więc starał się ją przed tym ustrzec. Nie było to trudne, gdyż w mieście tej wielkości wszyscy się znali.

Niestety Pendleton nie pochodził z Hope. Był tutaj nowy i chociaż ludzie z jego środowiska wyrażali się o nim dobrze, często, gdy mówi się o kimś aż tak dobrze, staje się to podejrzane. Justin nie martwiłby się, gdyby Marissę oczarował inny przystojny mężczyzna czy romantyczny gest, lecz w tym wypadku miał wątpliwości. Nie przyznała przecież, że ona i Trevor są parą, ale też nie zaprzeczyła. Stwierdziła tylko, że Pendleton to jej przyjaciel. Tak sam mówiła o Justinie.

Coś go niepokoilo w tej sytuacji. Nigdy nie bał się zmian, nie miał jednak ochoty nic w swoim życiu zmieniać, skoro toczyło się tak gładko.

Pod wpływem impulsu wbiegł z powrotem na górę. Marissa była sama w małym magazynie leków.

- Co robisz wieczorem? - zapytał.

Podniosła wzrok znad listy leków.

- Już wróciłeś?

- Masz plany na dzisiejszy wieczór?

- Tak, a co?

- Zmień je.

Spojrzała na niego tak, jakby mu nagle wyrosła druga głowa.

- Niemożliwe. Travis po mnie przyjedzie.

- O której?

- Jak skończy spotkanie. Pewnie koło dziewiątej.

- Będę u ciebie o ósmej.

- Coś się stało? - Zmarszczyła brwi.

Tak, do diabła. Nie podobało mu się, że jego przyjaciółka spotyka się z facetem, który kompletnie do niej nie pasuje. Pendleton i Marissa obracali się w różnych światach, a połączenie tych światów skończyłoby się katastrofą.

- Będę o ósmej - powtórzył.

- Po co? - spytała przestraszona.

Gdyby przyznał, że chce ją ostrzec przed tym związkiem, udusiłaby go stetoskopem.

- Żeby pogadać o nas.

Jej zdumienie nie miało granic.

- Nie ma żadnych „nas”. Przyjaźnimy się tylko.

- Lucy uważa inaczej.

- Och, na Boga - zirytowała się. - Nieważne, co myśli Lucy. Kocham ją, ale ona widzi to, co chce widzieć. Może jej się zdawać, że tworzymy świetną parę, ale skoro nie doszło do tego do tej pory, to lepiej zapomnij o tym.

Zapadła cisza. Justin zastanawiał się, dlaczego reakcja Marissy tak go rozczarowała. On przynajmniej był gotów rozważyć tę sprawę przed ostateczną decyzją.

- Wierz mi, nie ma żadnych „nas” - powtórzyła. - A teraz, jeśli to wszystko, mam pracę.

Inny mężczyzna przyjąłby to do wiadomości i odszedł, lecz Justin przysięgłby, że jej słowa zabrzmiały jakoś dziwnie, a nawet smutno.

- Dobra, będę o ósmej.

Podniosła na niego zdumiony wzrok.

- Po co?

- Zawsze byliśmy ze sobą szczerzy, prawda?

- Tak - odparła ostrożnie.

- Opowiesz mi o sobie i o Travisie.

Splotła ramiona na piersiach.

- Nie chcesz tego słuchać.

- Posłucham, obiecuję.

- A potem każesz mi go dokładnie sprawdzić, zanim podejmę decyzję?

- Najpierw cię wysłucham. Chodzi o to, że nie przysłał ci tych kwiatów z dobrego serca. On czegoś chce. Pewnie seksu - mruknął pod nosem.

- Dzięki za troskę. Ale już za późno.

Jego instynkt opiekuńczy wybuchnął niczym wulkan.

- Nie mów mi, że już się z nim przespałaś.

Zdumienie na twarzy Marissy zastąpił chłód.

- Nie twoja sprawa. Wiem, czego on chce.

- Tak? - Czekał na wyjaśnienia, ale ona milczała, więc dodał: - Nie możesz mnie tak zostawić, Mari.

- Skoro musisz wszystko wiedzieć, to ci powiem.

- Zrobiła krótką pauzę. - Chce, żebym za niego wyszła.

ROZDZIAŁ TRZECI

Marissa nie wiedziała, jaki złośliwy chochlik kazał jej wypowiedzieć tę półprawdę. Tak, pragnęła zaskoczyć Justina, żeby przestał się zachowywać jak starszy brat, nie przypuszczała jednak, że jej oświadczenie kompletnie odbierze mu głos.

Gdyby naprawdę chciała go zdenerwować, odeszłaby bez słowa. Teraz jednak żałowała, że nie ugryzła się w język. Nie była przesadna, lecz znała Trvisa za krótko, żeby kupować suknię ślubną.

- Oświadczył ci się? - spytał wreszcie Justin.
- Tak i nie.
- Albo to zrobił, albo nie.

Wolałaby mu wyjaśnić sytuację, a równocześnie nie miała ochoty się tłumaczyć.

- Rozmawialiśmy o małżeństwie, ale tylko ogólnie.
- Więc się nie oświadczył.

Nie rozumiała, dlaczego tak go to ucieszyło.

- Rozmawialiśmy i...
- O czym?

- O rodzinie, dzieciach. On zauważył, że dobrze się dogadujemy, i że powinniśmy zacieśnić tę więź... kiedyś...

Travis mówił żartobliwie, ona odpowiadała mu w podobnym tonie, ale wzięła to za dobry znak, że myślał o stałym związku.

- Kiedyś?

- Tak, kiedyś. Nie zdziwiłabym się, gdyby to było w bardzo bliskiej przyszłości. - Na to liczyła.

- Nie spieszysz się za bardzo?

- Wcale się nie spieszę. Jeszcze mnie nie prosił o rękę - przypomniała. - Nie chcę, żebyś się wtrącał.

- Ja się wtrącam?

- Nie rób takiej niewinnej miny, wiesz, że mam rację.

- Ja się nie wtrącam - rzekł urażony. - Ja tylko jestem twoim głosem rozsądku.

- Więc go pohamuj. Może z tego wyniknąć dla mnie coś dobrego. Nie chcę, żebyś to zepsuł. Żadnych śledztw, wypytywania o byłych narzeczonych albo szefów.

- Ale Mari...

- Mówię poważnie. Jestem dużą dziewczynką i dam sobie radę. Jeśli zechcę poznać twoje zdanie, zapytam cię.

Justin ściągnął brwi i spojrzał na nią zrezygowany.

- Dobra.

- Więc jedno ustaliliśmy.

Odwrócił się do wyjścia, ale przystanął jeszcze w drzwiach.

- Gdyby się oświadczył, zgodziłabyś się?

Musiała przyznać, że był naprawdę nieustępliwy.

- No i kto tu przyspiesza bieg spraw?

- Tylko odpowiedz.

Patrzyła na mężczyznę, którego znała od lat. Tego samego, który pojawiał się w jej snach, tego, który uczyniłby ją najszcześniejszą z kobiet, gdyby zauważył, że ona jest kobietą, a nie tylko kumpelką. Tak łatwo było wyobrazić sobie, że siedzą razem przy stoliku, na którym stoją róże i palą się świece, a on wręcza jej małe aksamitne puzderko.

Ale to nierealne. Lata mijały, a ona nauczyła się jednej ważnej rzeczy - nie ma sensu czekać na cud.

Zacisnęła palce, bo miała ochotę przebiec nimi wzdłuż zmarszczek na jego twarzy. Jeśli go w ogóle dotykała, to beznamiętnie i bezosobowo. Żałowała tego, ale takie jest życie. Nie może czekać na coś, co nie jest jej pisane.

Czy przyjęłaby oświadczyzny Trávisa?

- Tak - odparła cicho.

- Co tutaj robisz? - spytała ze złością Marissa, widząc Justina na swoim ganku.

- Przepraszam, spóźniłem się - rzekł ze spokojem, wziął na ręce uradowanego Toby'ego i podrapał go za uszami.

- Mam już towarzystwo.

- Nie przeszkadza mi to.

- Ale mnie tak - odparowała. - Miałeś przyjść o ósmej. Dochodzi dziesiąta.

- Pacjent mnie zatrzymał. Co miałem poradzić?

- Nic - burknęła. - Nie wiem, po co w ogóle się fatygowałeś. Czy nie omówiliśmy już wszystkiego?

- Tak, ale chyba nie masz mi za złe, że chcę poznać faceta, który tak cię uskrzydła?

- Chyba nie - rzekła niechętnie. - Czy to musi być dzisiaj?

- Nie odkładaj na jutro, co możesz zrobić dziś.

Marissa odebrała mu Toby'ego z westchnieniem.

- Dobra, ale nie zasiedź się.

Pierwszy raz zaprosiła Trávisa do domu, więc była i tak zdenerwowana. A teraz musi się jeszcze martwić o to, czy Justin czegoś nie wypali.

- Nie chcę przeszkadzać prawdziwej miłości. - Puścił do niej oko.

Marissa wzniosła oczy do nieba.

- I nie będziesz go przesłuchiwać?

- Przysięgam. - Justin uniósł dwa palce.

- No dobra. Miejmy to za sobą. Tylko pamiętaj. Pięć minut i znikasz.

- Jasne.

- Zaczekaj tu, zamknę Toby'ego.

- Zamkniesz Toby'ego? Za co? - Uśmiechnął się.
- Przyniósł twoje majtki z łazienki?

- Nie, dzięki Bogu. - Wiedząc, że Toby lubi sobie pożuć kawałek jedwabiu, chowała bieliznę. - Travis nie przepada za psami.

Justin podrapał psi łeb.

- Nie lubi takiej słodkiej istoty?

- Tak, cóż, niechęć jest wzajemna. Od momentu, gdy Travis przeszedł przez próg, Toby warczy.

- Ciekawe.

Nie przyznała, że była rozczarowana brakiem porozumienia między swym pupilem i tym mężczyzną.

- Pewnie nie podoba mu się zapach wody kolońskiej Trávisa - zaczęła bronić gościa.

- Daj mi Toby'ego. Będzie grzeczny.

- Jak znów zaczniesz warczeć, zamknę go.

Justin zmierzwił sierść psa.

- Słyszysz, co powiedziała szefowa? Mamy się przyzwyczaję zachowywać.

Toby polizał go po brodzie.

Pierwsza wizyta Trávisa wygląda coraz lepiej, stwierdziła ponuro Marissa, idąc do pokoju. Za nią szedł Justin, a za Justinem radośnie truchtał Toby. Marissa dokonała

prezentacji. Mężczyźni uścisnęli sobie dłonie, po czym stanęli w przeciwległych końcach pokoju jak bokserzy na ringu, którzy szykują się do walki.

Dziwne, że tak to postrzega, pomyślała. Miała nadzieję, że nie zapowiada to klimatu następnych kilku minut. Gdyby to od niej zależało, Justin nie siedziałby u niej dłużej, niż wymaga zmierzenie ciśnienia krwi.

Zdecydowana odesłać nieproszonego gościa do domu, zanim powie coś, czego będzie żałowała, chwyciła ze stołu płytę DVD.

- Justin wpadł pożyczyć film - oznajmiła, podając mu płytę. - Miłego oglądania.

Justin wcale nie spieszył się do wyjścia. Opadł na fotel i gestem zaprosił psa na kolana, po czym zerknął na tytuł filmu.

- Właśnie to chciałem obejrzeć - rzekł, drapiąc teriera za uszami. - „Casanová”. Nie ma lepszego lekarstwa na bezsenność niż babski film. Dzięki, Mari.

Boże, dała mu „Casanovę”? Travis na pewno domyślił się, że film to tylko pretekst. Albo będzie się zastanawiał, kim naprawdę jest doktor St. James. Jeśli uzna, że jest gejem, trudno byłoby mieć pretensje.

- Jeśli wolisz co innego...

- Nie, nie - Justin pokręcił głową. - To jest świetne.

Ku niezadowoleniu Marissy oparł się wygodnie, jakby przyszedł z długą wizytą.

- Sądzi pan, że Cubs mają szanse wygrać puchar w tym roku?

- Ja stawiam na Yankees - odparł Travis.

- Dobra drużyna - przyznał Justin. - Ale dla odmiany chętnie zobaczyłbym kogoś innego na pierwszym miejscu.

Kiedy mężczyźni rozmawiali o zawodowych drużynach koszykówki, Marissa się im przyglądała. Travis miał niebieskie oczy i jasne włosy, nawet o tej porze dnia idealnie uczesane. Na ciemnej głowie Justina panował bałagan.

Po drodze ze szpitala wpadł zapewne do domu, gdyż zamienił niebieską koszulę, czarne spodnie i eleganckie buty na sprane dżinsy, czerwony T-shirt i tenisówki. Od ósmej rano do piątej po południu wyglądał na odnoszącego sukcesy lekarza, później liczyła się tylko wygoda. Pacjenci byli wdzięczni za jego pomoc po godzinach pracy i nie przeszkadzało im, że bardziej przypominał przystojnego hydraulika z kalendarza niż poważnego doktora. A większość pielęgniarek modliła się, by mieć okazję zerknąć na zgrabne ciało w obcisłych dżinsach.

Travis wciąż miał na sobie ciemny garnitur. Nie było w tym nic dziwnego, zważywszy że przyjechał prosto z pracy. Pozwolił sobie tylko rozluźnić jedwabny krawat, który kosztował pewnie tyle co garnitur. Marissa zastanowiła się, Czy kiedykolwiek widziała go w sportowym stroju. Był jednak osobą publiczną i ubierał się stosownie do swojej roli.

Obaj jej goście byli przystojni. Ciemnowłosy Justin bardziej poruszał jej zmysły niż blady Travis. Zganiła się za tę myśl. W końcu ważniejszy jest charakter.

- Co tam sływać w ratuszu?

Pytanie Justina wyrwało ją z rozmarzenia. Wyglądało na to, że mężczyznom miło się rozmawia.

- Dużo pracy - odparł Travis. - Przygotowujemy budżet na przyszły rok. Mówiłem już Marissie, że przez kilka najbliższych tygodni będę przetwarzał liczby.

- Naprawdę? - Justin pogłaskał Toby'ego. - Nie wystarczy dodać wskaźnika inflacji i wzrostu wydatków do liczb z ubiegłego roku?

- Och, to o wiele bardziej skomplikowane - odparł Travis. - Miasto powinno mieć odłożone fundusze na czarną godzinę, a żeby do tego doprowadzić, trzeba ciąć wydatki. Pewnie nie macie z tym do czynienia?

- Zdarza się - przyznał Justin. - Służba zdrowia coraz bardziej przypomina biznes. Czasami trudno znaleźć złoty środek między popadnięciem w długi i zapewnieniem dobrej opieki lekarskiej.

- Niestety miasto nie może, tak jak wy, podnieść opłat za usługi dla pokrycia braków.

Marissa usłyszała wyzwanie w głosie Trávisa i w duchu się wzdrygnęła. Ludzie nie zdają sobie sprawy, jak bardzo Justin przejmuje się kosztami opieki zdrowotnej. Często leczył biednych, nieubezpieczonych za grosze. Stwierdzenie Trávisa mogło wywołać burzę. Chciała stanąć w obronie Justina, ale on ją uprzedził.

- Nie ustanawiamy cen arbitralnie, - oświadczył spokojnym toem, pod którym Marissa słyszała wrzące emocje. Byłoby to tak popularne jak działania administracji, obojętnie jakiego szczebla, która podnosi podatki dla zdobycia kasy.

Travis skinął głową.

- Ludziom trudno zaakceptować, że muszą zapłacić za coś więcej niż dotychczas, ale takie jest życie.

W tym momencie Toby przewrócił się na plecy, a Justin z radością podrapał go po brzuchu.

- Żebrak - zaśmiał się. - Czy Toby robił z panem takie sztuczki?

Marissa natychmiast zeszywniała.

- Nie - odparł Travis.
- Niedobrze. To inteligentny pies. Jak będzie go pan karmił cheeriso, zostanie pańskim kumplem. - Podrapał teriera mocniej. - Prawda?
- Travis nie przepada za psami - wtrąciła Marissa, żałując, że nie siedzi bliżej Justina i nie może go szturchnąć łokciem.
- Lubię psy - poprawił ją Travis. - Tylko uważam, że ich miejsce jest na podwórku. Bez urazy, Marisso.
- Rozumiem. - Wierzyła, że z czasem Toby zdobędzie sympatię Trávisa.
- Do szau mnie doprowadzają psy, które wciąż jazgoczą.
- Toby nie jazgocze - rzekł Justin. - Jest wspaniałym obrońcą Marissy.
- Profesjonalny system alarmowy nie gubi sierści.
- I nie przytula się do ciebie w nocy - dodała Marissa.
- Wolałbym się przytulać do kogoś innego.

Kiedy Travis spojrział na nią tęsknie, jego myśli były więcej niż oczywiste. Marissie zrobiło się gorąco, ale cieszyła się, że Justin to usłyszał. Zawsze pragnęła, by dostrzegł w niej atrakcyjną kobietę. Wyrażna aluzja Trávisa powinna otworzyć mu oczy. Nie mogła lepiej tego zaplanować.

Zerknęła na Justina, który zdawał się bardziej zajęty psem niż uwagami Trávisa. Rozczarowana, westchnęła głęboko. Może uda się następnym razem.

Justin nigdy nie uważał się za człowieka gwałtownego, ale w tej chwili wyobrażał sobie, że drapie twarz Pendletona, jakby chciał wydrapać w niej dziury. Bezczelny typ, żeby tak otwarcie zapraszać Marissę do łóżka,

i to w obecności obcej osoby! A Lucy i Marissa twierdzą, że ten człowiek ma dobre maniery!

Justin nie wiedział, czy Marissa słyszała dokładnie ich rozmowę i czy zauważyła, jak Travis podkreśla swoją wyższość. Szkoda, że nie może mu dołożyć. Zrobi to, jeśli ten typ jeszcze raz wystąpi z wrednym komentarzem.

Nagle Toby zapiszczał i zmienił pozycję, spojrzawszy na Justina pytająco. Justin zrozumiał, że sprawił mu ból i poklepał go lekko.

- Wybacz, stary - mruknął.

Toby położył łeb na jego przedramieniu i przybrał swą najbardziej żalną minę, jakby rozumiał frustracje Justina. Może rozumiał. Nie trzeba mieć wysokiego IQ, by wiedzieć, że jeśli Pendleton nie zniknie, wspólne dni Toby'ego z Marissą są policzone. Pies wylądował na podwórzu.

Zresztą nie byłby jedynym zdegradowanym stworzeniem. Spotkałoby to również Justina. Nawet gdyby nadal przyjaźnił się z Marissą, byłby niczym piąte koło u wozu. To Pendletona oplatałyby jej długie nogi. To on widziałby jej uśmiech, leczył jej rany i wysłuchiwał zwierzeń.

Czy ona nie dostrzega, że nawet jeśli Pendleton jest dość przywoity, jego stosunek do Toby'ego kompletnie go dyskwalifikuje jako jej partnera?

A kto byłby dla niej dobry?

Justin nie znał odpowiedzi, ale był pewien, że to nie Pendleton. Zerknął z ukosa na Marissę. Powtórzył sobie w myśli tysiąc powodów, dla których nie powinien wtrącać się w jej sprawy, i tylko jeden, który to usprawiedliwiał. Nagle przestało być ważne, czy ma jeden, czy tysiąc powodów, by się wtrącić. Bo ten jeden usuwał w cień wszystkie inne.

Jeśli Marissa wyjdzie za Pendletona, życie Justina zmieni się na zawsze. A on nie był na to gotowy.

- Co ci się stało? - zawołała Marissa nazajutrz rano, gdy wszedł na oddział.

- Nic, a co?

- Wyglądasz okropnie.

- Naprawdę? - Potarł kark. - Moje lustro mówi mi, że nieźle się prezentuję.

- Owszem - przyznała. - Uczesałeś się, ogoliłeś i masz wyprasowane ubranie. Ale chyba całą noc nie spałeś.

- Na jakiej podstawie tak twierdzisz?

- To ogólne wrażenie, nie potrafię go wyjaśnić. Uśmiechasz się jakoś tak ponuro, i oczy masz martwe.

- Z twojego opisu wynika, że jestem starcem.

- To dlaczego nie spałeś? - Uśmiechnęła się. - Wyszedłeś ode mnie o jedenastej.

- Wierz mi, chciałem. - Wyliczał powody na palcach.

- Niekontrolowana cukrzyca, zawał...

Kiedy Travis chwalił się swą kolekcją win, Justina wezwano do szpitala. Travis uważał, że wina w cenie poniżej trzystu dolarów za butelkę nie są godne uwagi. Justin o mały włos nie wspomniał, że ulubione wino Marissy kosztuje mały procent tej sumy, ale ugryzł się w język. Nic by nie zdziałał, zawstydzając ją przed kimś, przed kim chciała zabłysnąć.

- A Tobie był później grzeczny?

- Jako tako. Siedział u mnie na kolanach i dąsał się, dopóki Travis nie wyszedł około północy. Nie znosi, jak ktoś nie zwraca na niego uwagi.

- To kabotyn - przyznał Justin. - Ale lubi ludzi i nie

rozumie, dlaczego ktoś miałby go nie lubić. Nic dziwnego, że warczał na Trávisa.

- Musi się do niego przyzwycząić. Nie mogę mieć za złe Travisowi, że nie chce sierści na ubraniu.

- To gorsze niż śmierć - zgodził się Justin.

Obrzuciła go wrogim spojrzeniem.

- Nie skończyłeś mówić, dlaczego nie spałeś w nocy.

- Po zawałowcu pojawił się gość, który miał strasznie wysokie ciśnienie. Potem następny, z nieustającym krwawieniem z nosa...

- A gdzie byli lekarze z ratunkowego?

- Jared miał klientów z wypadku samochodowego. Pięciu rannych. Mnie zostały lżejsze przypadki.

Całą noc pracował, tylko od czasu do czasu wracał myślami do Marissy. Na szczęście był zbyt zaabsorbowany, by się zastanawiać, co robią Marissa i Pendleton, chociaż o drugiej nad ranem z trudem zwalczył pokusę, by przejechać obok jej domu. Toby świetnie się spisał, nie dopuszczając, by tych dwoje kotłowało się w pościeli. Zapisał sobie w pamięci, by kupić psu ulubiony przysmak.

- Zawsze kręcisz się po erce i pomagasz - zauważyła Marissa. - Założę się, że z góry się cieszą, wzywając cię do jednego pacjenta, bo wiedzą, że zostaniesz na noc.

Wzruszył ramionami.

- Nie mam nic do roboty w domu.

- O tym mówię, Justin. Musisz mieć jakieś życie poza szpitalem.

Nigdy tak na to nie patrzył, ponieważ praca była jego życiem, zwłaszcza po rozwodzie. Ale może Marissa ma rację. Nie zdoła wybić jej z głowy Pendletona, jeśli wszystkie wieczory poświęci chorym. Ale znów, gdyby był

dżentelmenem, powinien ustąpić Pendletonowi, ponieważ Marissa wybrała właśnie jego. Tyle że Justin nie uważał się za dżentelmena.

Tego ranka, gdy się umył i ogolił, rozważania z minionej nocy doprowadziły go do pewnego planu. Nie może sam zdyskredytować Pendletona, gdyż obiecał Marissie, że nie będzie grzebał w jego życiorysie. To jednak nie znaczy, że ktoś inny nie może tego zrobić.

Czekając na informacje, przejdzie do punktu drugiego swojego planu. Od chwili, gdy wylądował w Hope, Marissa była przerażona jego spartańskim życiem. Po rozwodzie pozbył się niemalże wszystkiego. Nie chciał, by cokolwiek przypominało mu o przeszłości. Zamierzał zastąpić stare rzeczy nowymi, ale długie godziny pracy wciąż mu na to nie pozwalały. W końcu przestał zauważać, że czegoś mu brak.

Ale Marissa to widziała. Zachęcała go, a czasami wręcz zameczała, by umeblować swój dom na znak tego, że nieudany związek ma już za sobą. Postanowił to wykozystać, by odciągnąć ją od Pendletona.

- Tak, myślałem o tym - rzekł nonszalancko. - Czy nie zechciałabyś mi pomóc w odnowieniu domu?

- Odnowieniu domu? - powtórzyła zdumiona.

- Sama mówiłaś, że ściany są brudne. Pomogłabyś mi wybrać kolory.

Zlustrowała jego czarne spodnie i białą koszulę.

- Jesteś wierny pewnym barwom - przyznała.

- Dlatego potrzebuję twojej rady. Jeśli masz czas, oczywiście.

- Mówisz poważnie?

- Całkiem serio - odparł. - Od dwóch lat mnie do tego przekonujesz.

- Myślałam, że nie słuchałeś.
- Słuchałem. Więc podzielił się ze mną swoim talentem dekoratorskim?

- Jasne, ale czemu akurat teraz?

Justin wzruszył ramionami.

- Ponieważ czas leci nieubłaganie. Czy czwartek ci odpowiada?

- Tak...

- Travis nie ma żadnych planów? - dopytywał się.

- Wyjeżdża na weekend do rodziny, a w poniedziałek ma seminarium w Kansas.

- Świetnie, więc jesteśmy umówieni.

Nagle Marissa pokręciła głową.

- W czwartek nie dam rady. Idę z Abby na pierwszą lekcję w szkole rodzenia. Szwagier nie może jej towarzyszyć.

- Nie ma sprawy. Wybierzemy się w piątek.

- Okej. Aha, martwię się o Lonniego.

- Co się stało?

- Niby jest stabilny, ale nie podoba mi się jego oddech.

Marissa miała dobry instynkt i kiedy uważała, że coś jest nie tak, Justin traktował to z powagą.

- Zbadam go i poproszę, żeby obejrzał go ktoś z terapii oddechowej. Czy wyniki Lucy już przyszły?

- Dzisiaj rano. - Podała mu kartkę.

- Niech zgadnę - rzekł, zanim spojrzął na tabelę. - Nie ma żadnych mikroorganizmów.

- Spodziewałeś się czegoś innego?

Justin przerzucał strony.

- Nie. Na podstawie wczorajszych wyników wyeliminowałem bakteryjne zapalenie opon, co pozostawia nam czynnik wirusowy albo zapalenie mózgu. Skłaniam

się bardziej ku temu drugiemu z powodu stanu jej umysłu i lekkiego opadnięcia jednej strony twarzy.

- Ale od razu podałeś jej leki antywirusowe. Nie powinno już być poprawy?

W głosie Marissy słyszał troskę, a nie ciekawość. Niewątpliwie oczekiwała, że tego ranka Lucy będzie w lepszym stanie niż poprzedniego wieczoru.

- Niekoniecznie, efekt może być dopiero po kilku dniach.

- Ale będzie, tak?

Żałował, że nie może dać jej gwarancji.

- Lek antywirusowy działa tylko na niektóre wirusy, na przykład opryszczkę. Jeśli jeden z nich jest powodem kłopotów Lucy, powinniśmy dość szybko widzieć poprawę. Jeśli to inny typ, lek zapewne nie skutkuje.

Marissa wiedziała z doświadczenia, że choroby wirusowe są czasem nieprzewidywalne. Trudniej to "zaakceptować, gdy choruje ktoś bliski.

- Póki co, damy jej środki wspierające system odpornościowy. - Dotknął ramienia Marissy. - To silna kobieta, poradzi sobie.

- Nawet jeśli to wirus zachodniego nilu?

- Nie spisujemy jej jeszcze na straty, okej? - Przytulił ją impulsywnie.

Z sali numer cztery dobiegł głośny dzwonek. Leżał tam pacjent z wysokim ciśnieniem przywieziony w nocy.

- Nie zapomnij napisać skierowania dla Lonniego - powiedziała Marissa.

- Tak jest -* odrzekł posłusznie Justin. - A teraz pędź do czwórki, zanim zwariujemy.

Zaraz po wyjściu Marissy w pokoju pielęgniarek pojawiła się Kristi. Justin tylko na to czekał.

- Kristi - zaczął, biorąc ją na stronę. — Zrobisz mi przysługę?

- O co chodzi?

- Słyszałaś o Pendletonie i Marissie?

- Tak.

- Co wiesz o tym gościu?

- Niewiele. Jest w mieście od dwóch miesięcy.

- Czy twój szwagier nadal pracuje w urzędzie miasta? Nie mówił nic o szefie?

- Brian jest konserwatorem, rzadko ma z nim do czynienia.

- Mogłabyś podpytać go o najnowsze plotki?

Kristi skrzywiła się.

- O litości. Znowu?

- Co?

- Wiesz, co to jest domniemanie niewinności? Naruszasz prawo, doktorze.

- Nieprawda - zaprotestował. - Zresztą ty to zrobisz.

- Jezu, dzięki. Niby dlaczego mam się podłączyć do twojego brudnego planu?

- Bo jesteś przyjaciółką Marissy.

- Nie spodoba jej się to - ostrzegła.

- Jeśli dowiemy się czegoś, będziemy spać spokojnie.

- Nie chcę wściubiać nosa w jej sprawy.

- To nie to samo.

- Zbieranie plotek na temat mężczyzny, na którym jej zależy, trudno nazwać inaczej.

- Boisz się, że gość nie jest tym, za kogo się podaje?

- Gdyby to tylko było takie proste. Na pierwszy rzut oka Pendleton zrobił na Justinie dobre wrażenie, pomimo pewnego zadufania.

- Nie - odparła. - A jeśli tak, co wtedy?

- Powiemy jej.

- O nie! - Kristi zaczęła machać rękami jak policjant z drogówki. - Zapomnij o tym.

- Chcesz, żeby związała się z facetem, który złamie jej serce? Chyba już wiesz, że pozory mylą.

Zawahała się, po czym niechętnie skinęła głową.

- Zadzwoń do Briana i spytam, co wie, albo czy może wybadać teren.

- Świetnie.

- Uważaj tylko, żeby Marissa o niczym się nie dowiedziała.

- Słowa nie pisnę. A ty?

- Jasne, że nie. Nie pragnę śmierci ani nie chcę stracić przyjaciółki.

Justin pokiwał głową i rzekł z powagą:

- Ja też nie.

ROZDZIAŁ CZWARTY

- Jak się dzisiaj czujesz, Lucy? - spytała Marissa w piątek, jak każdego ranka od chwili, gdy przyjaciółka znalazła się na oddziale.

- Byłoby przyjemniej, gdybym mogła pospać trochę więcej niż kilka minut - odparła starsza kobieta. - Bez przerwy ktoś tu wchodzi, a to pobrać mi krew, a to ustawić kroplówkę. - Uniosła chudą rękę. - Albo poprawić pościel. A skoro o tym mowa, powiedz tym ludziom w pralni, żeby używali płynu zmiękczającego do płukania. Czuję się, jakbym spała na papierze ściernym.

Marissa się uśmiechnęła.

- Skoro narzekasz na obsługę, to chyba jest lepiej.

Lucy lekko się poruszyła.

- Czuję się, jakby przez trzy przecznice ciągnęła mnie ciężarówka. Jeśli to oznacza poprawę, to wolę od razu poczuć się normalnie.

Marissa sprawdziła kroplówkę i zerknęła na monitory.

- Będzie dobrze. Trochę ciepłości.

- Mam nadzieję. To okropne, ta bezsilność. - Lucy zacisnęła obsypane starczymi plamami dłoń, które drżały. Test na obecność wirusa Zachodniego Nilu wypadł pozytywnie. Marissa miała już do czynienia z tą chorobą i wiedziała, że Lucy czeka długa rekonwalescencja.

- Wiem, ale dzisiaj spróbuję posadzić cię na fotelu. Jak się uda, może przeniesiemy cię do innego pokoju.

- Poprosiłabym, żeby mnie wypisali, ałe mówiąc szczerze, nie wiem, jak sobie poradzę.

- Nie wyrzucimy cię, dopóki nie będziesz gotowa.

Marissa pomogła Lucy włożyć szlafrok, a potem pozwoli posadzić ją na skraj łożka.

- Nie martw się - powiedziała. - Nie upadniesz.

Pamiętając o kablach łączących Lucy z urządzeniami monitorującymi, Marissa pomogła jej wstać. Tak niedawno przyjaciółka była pełna życia. Przykro było teraz na nią patrzeć, tak słabą i kruchą, ale pojawiły się już pierwsze oznaki poprawy. Gorączka spadła, ciśnienie i puls były lepsze. Lucy sunęła po podłodze z trudem, po czym opadła na fotel z westchnieniem.

- O Boże! -jęknęła. - Nie myślałam, że chodzenie jest taką ciężką pracą.

- Posiedzisz kwadrans i wrócisz do łożka. Po południu to powtórzemy.

Lucy odchyliła głowę i przymknęła oczy, a Marissa przykryła ją kocem.

- Czy Justin już wie, co mi dolega?

- Tak - zaczęła Marissa, kiedy Justin wszedł do pokoju. - O wilku mowa.

Justin podszedł do fotela.

- Rano dostałem wyniki. To wirus Zachodniego Nilu.

- Co to takiego? - zapytała Lucy.

- Wirus przenoszony przez komary, które zaraziły się od chorych ptaków.

- Żyję już długo, młody człowieku, i widziałam masę chorób i epidemii, ale o tym nie słyszałam.

- Ten wirus dopiero niedawno pojawił się na zachodniej półkuli. Pochodzi z Afryki, Azji, Europy Wschodniej i Bliskiego Wschodu, ale teraz ludzie się przemieszczają.

Istnieje teoria, wedle której wirus przyleciał na gapę do Nowego Jorku i wędruje po kraju. Nie zauważyła pani na swoim podwórku martwych ptaków?

- Kilka - przyznała. - Wyrzuciłam je do śmieci.

- Te ptaki mogły mieć wirusa, a jeśli nawet nie, to mogły go przenieść komary.

- Mówiłam, że komary są w tym roku okropne - skomentowała Lucy. - Nie dały mi pracować w ogrodzie.

- Jak wróci pani do domu, nie wolno pani wychodzić rano, o zmierzchu i wczesnym wieczorem, kiedy jest ich najwięcej. I koniecznie proszę nosić długie rękawy i smarować się środkiem odstraszającym komary.

- Dobrze. Powiedział pan, że kiedy wyjdę do domu?

- Nic nie powiedziałem. Najpierw przeniesiemy panią na inny oddział. Może jutro, jeśli dzisiaj dobrze się pani spisz. Za tydzień albo dwa stanie pani na nogi.

- Jeszcze tydzień? - Zmarszczki na czole Lucy pogłębiły się. - A mój ogród? Moje kwiaty?

Marissa poklepała ją po ramieniu.

- Podlewam je co drugi dzień, tak jak ty.

- Dziękuję, kochanie, ale zanim wrócę, ogród kompletnie zarośnie chwastami.

- Z początku i tak nie będzie pani mogła pielić - uprzedził Justin. - Będzie się pani łatwo męczyć. Obawiam się, że czeka panią długa rekonwalescencja.

Lucy posmutniała.

- Chwasty nie czekają.

- Nie obiecuję, że spiszemy się tak dobrze jak ty - wtrąciła Marissa - ale w ten weekend zrobimy z Justinem co się da. - Jeśli ma być jego dekoratorem wnętrz, on może jej pomóc w pielieniu.

- Naprawdę? - Oczywiście Lucy pojaśniały. - Jestem ci

ogromnie zobowiązana. - Zerknęła na Justina. - I panu też.

- Nie ma za co. Tylko proszę się nie śmiać, jak w poniedziałek będę chodził zgięty wpół.

- Wy młodzi nie potraficie pracować fizycznie.

Justin pochylił się i szepnął dość głośno:

- Teraz wie pani, dlaczego zostałem lekarzem, ale proszę nikomu nie mówić.

Tym razem Lucy roześmiała się w głos.

- Żarty się pana trzymają.

- Czy mogę pożyczyć Marissę na chwilę? - zapytał.

Lucy machnęła sękatą ręką.

- Nie spieszy mi się z powrotem do łóżka.

Justin lekko popchnął Marissę w kierunku pokoju pielęgniarek.

- Stafford przyjmuje pacjenta na twój oddział. Kolejny podejrzany o wirus zachodniego nilu.

Marissę przeszedł dreszcz.

- Jest też dziewięcioletni chłopiec w jeszcze gorszym stanie - dodał Justin.

Marissa natychmiast przejrzała w myśli zapasy leków.

- Będzie dużo więcej przypadków?

- Patolog oświadczył dziś na spotkaniu, że zauważył duży wzrost pozytywnych wyników testu na obecność wirusa zachodniego nilu. Nie wszyscy są tak chorzy, ale to powód do zmartwienia.

- Więc co robimy?

- Usiłuję skontaktować się z naszym wydziałem zdrowia. Im szybciej zaczniemy ostrzegać ludzi, tym lepiej. Nasze dzisiejsze spotkanie jest aktualne?

Uśmiechnęła się.

- Przyjadę po ciebie o siódmej.

- Ale sklep z farbami jest za twoim domem.
- Nie szkodzi. Najpierw chcę raz jeszcze obejrzeć twój dom, może coś mi przyjdzie do głowy.

- Dobrze.

Wydało jej się podejrzane, że Justin zgadza się z nią bez żadnych protestów.

- Wszystko w porządku?

- Tak, a co?

- Wiem, że nie lubisz zmian.

- Nie o to chodzi. Nie potrzebuję ich po prostu. Poza tym mówimy tylko o malowaniu. O ile nie każesz mi przynieść naczyń w kredensie, nie będę się sprzeciwiał.

Zakryła usta ręką.

- To ty masz jakieś naczynia?

- Tak, mądralo.

- No to do siódmej.

- Gdyby mnie nie było... - zaczął.

- Wiem, gdzie masz zapasowy klucz.

Marissa odprowadziła go wzrokiem. Nie będzie zagładać darowanemu koniowi w zęby, ale od dwóch lat go błaga, by zadbał o swój dom, a on się opierał. A teraz ni stąd, ni zowąd, jest gotowy na całkowitą odmianę.

No, może malowanie ścian to nie całkowita odmiana. Ale w przypadku mężczyzny, któremu nie przeszkadzały ściany w odcieniu brudnej bieli, wprowadzenie jakiegokolwiek koloru to prawie rewolucja. Do tej pory lekceważył jej delikatne i mniej delikatne aluzje. Teraz, niemal z dnia na dzień, zmienił zdanie, i to bez żadnej zachęty z jej strony. Była tym zaintrygowana, ale gdyby naciskała, by zdradził jej swoje motywy, mógłby się wycofać.

Marissa zawróciła do łóżka Lonniego Newlanda.

- Myślałam, że dziś trochę pośpisz - powiedziała,

widząc Abby na krześle obok łóżka. - Wczoraj długo siedziałaś.

- Tak. - Abby wyprostowała plecy. - Ale junior - pogłaskała brzuch - obudził się wcześniej. No więc uznałam, że pora wstawać.

- Czy ty nie za mało odpoczywasz?

- Siedzę tutaj i siedzę w domu, kilka razy przejdę się wokół szpitala, i znowu siedzę. To chyba dosyć.

Może nie przemęczała się fizycznie, ale emocjonalnie była wykończona. Czekwała, aż mąż się przebudzi, a czas rozwiewał jej nadzieję.

- Dzięki, że wczoraj ze mną poszłaś - rzekła Abby.

- Zawsze możesz na mnie liczyć. - Marissa zauważyła, że drogi oddechowe Lonniego są niedrożne. - Bądź tak dobra i zostaw mnie z Lonniem na chwilę.

Abby skinęła głową i wyszła.

Marissa odessała drogi oddechowe pacjenta, a potem zmieniła jego pozycję, by zapobiec odleżynom. Stale ją zdumiewało, w jak szybkim tempie ludzki organizm podupada.

- Uściśnij moją rękę, Lonnie - rzekła, wypatrując reakcji wskazującej, że w tym słabym ciele tli się duch.

I nic. Gołym okiem Marissa nie dostrzegła żadnej zmiany, więc skupiła się na monitorach. Niezadowolona z poziomu tlenu we krwi, zapisała sobie w pamięci, by zadzwonić na terapię oddechową. Potem zbadała puls, przyłożyła ucho do serca, płuc i żołądka. Nie znalazła nic niepokojącego, więc sprawdziła jeszcze zgłębnik nosowo-żołądkowy, przez który podawano witaminy i minerały.

Zapisała swoje obserwacje, po czym spotkała się z Abby na korytarzu.

- Możemy chwilę porozmawiać?

Marissa nie znosiła rozmawiać w pokoju dla rodzin, ponieważ najczęściej przekazywano tam złe wiadomości, ale było to jedyne wolne pomieszczenie na oddziale.

- Wiem, że doktor St. James rozmawiał już z tobą o tym - zaczęła, gdy tylko zamknęła drzwi - ale zastanawiałam się, czy nie zmieniłaś zdania w sprawie reanimacji.

- Nie. - Abby potrząsnęła głową. - Jeszcze nie mogę. Podpisanie tego znaczyłoby, że się poddaję. A ja się nie poddaję. - W jej oczach było błaganie. - Póki jest szansa, że Lonnie się obudzi i zobaczy nasze dziecko.

Marissa uważała, że to mało prawdopodobne.

- Lonnie nie reaguje na leczenie zapalenia płuc. Jego ostatnie EEG nie wykazuje wielkiej aktywności mózgu.

Abby wyprostowała plecy.

- Nie mogę tracić nadziei. Może jutro, nie dzisiaj. Rozumiesz?

Marissa nie wyobrażała sobie, co czuje kobieta, której mąż nie może nawet samodzielnie oddychać. Abby miała wkrótce urodzić pierwsze dziecko. Stres związany z decyzją o przerwaniu reanimacji męża w określonych okolicznościach tylko by jej zaszkodził.

- Rozumiem. - Marissa ją objęła. - Idź do niego.

- Dziękuję.

Kiedy Marissa ruszyła do Kristi, by pomóc jej przy kolejnej ofercie wirusa zachodniego nilu, żałowała, że nie ma w magazynie magicznej lampy z dżinem. Gdyby miała tylko jedno życzenie do dyspozycji, dotyczyłoby ono Lonniego, bo nikt bardziej na to nie zasługiwał.

- I co?

Marissa przystanąła w salonie Justina, słysząc jego kroki w holu i odgłos kluczy rzuconych na stół kuchenny. Nie chciała mu pokazać, jak bardzo była poruszona tym, co zobaczyła, więc uśmiechnęła się siłą woli.

- No cóż, tak jak się spodziewałam.

Przyjechała pół godziny wcześniej. Przechadzała się po pokojach, usiłując pojąć, jak Justin mógł do tego stopnia stracić zainteresowanie najbliższym otoczeniem. Myślała, że się popłacze. Posiadał tylko najpotrzebniejsze sprzęty, jakby chciał ukarać się za rozwód. Ale gdy skończyła obchód, zaczęła myśleć o tym, czym można by wypełnić tę przestrzeń, jak artysta patrzący na puste płótno.

- Tak źle?

Przybita mina Justina kazała jej zachować powściągliwość. W końcu wybrał sobie to miejsce do życia, nawet jeśli ona nie nazwałaby go przyjaznym. A gdyby zaczęła wyliczać wszystkie minusy jego domu, przyjąłby postawę obronną. Długo się namyślał, nim zgodził się na malowanie, więc nie chciała, by się wycofał. Jeśli dobrze to rozegra, może zdoła przekonać go do kupna nowych zasłon oraz mebli. A jeśli będzie miała szczęście, namówi go też do zmiany wykładziny. Ale wszystko po kolei.

- Cóż - podjęła. - Twój dom wygląda dość sterylnie.

W salonie stała sofa obita materiałem w cętki leoparda, czarny skórzany fotel i zniszczony stolik do kawy, zasłany stertą pism medycznych. Ścianę zdobił górski pejzaż.

- Sterylny?'-spytał zdziwiony.

- To znaczy pusty - • wyjaśniła.

W jego oczach pojawiło się zrozumienie.

- Wolę słowo niezagracony.

- Święta prawda. - Czy naprawdę Justin lubi takie skromne otoczenie, czy to tylko kwestia przyzwyczajenia? Po rozwodzie zostały mu ubrania i pusty rachunek bankowy, ale twierdził, że to lepsze niż płacenie alimentów przez dziesięć lat. Cokolwiek nim kierowało, Marissa zamierzała go przekonać, że jego dom nie musi przypominać celi pustelnika.

- Świeża farba na pewno dużo zmieni - oznajmiła, wyobrażając sobie, jak będzie wyglądał pokój po odmalowaniu. - Ale powinieneś rozważyć jeszcze inne zmiany.

Justin zmrugał oczy.

- Burzenie ścian nie wchodzi w rachubę.

- Moje rady dotyczą urządzenia domu, nie remontu. Mówię tylko, że czasami jeden krok prowadzi do następnego. Kiedy wymieniłam prysznic w łazience, umywalka wyglądała fatalnie. Jak ją wyrzuciłam, przestała mi się podobać podłoga.

- Malujemy tylko ściany - przypomniał jej.

- Zgoda. Ale mówię ci z doświadczenia, żebyś przygotował się do wymiany rolet i zasłon.

- Czy jeszcze do czegoś powinienem się przygotować? - spytał cierpko.

- Dam ci znać w odpowiednim momencie - odparła.

- Cokolwiek chodzi ci po głowie, nie puszczaj wodzy fantazji - ostrzegł. - Nie chcę mieć domu z magazynu wnętrzarskiego. Chcę, żeby to było wygodne miejsce, gdzie mogę rzucić skarpetki na podłogę i zostawić gazety na stole.

- Nie sądziłam, że rozrucasz ubrania. - Na myśl o jego bieliźnie przeszyła ją dreszcz. Nosi bokserki czy slipki? Rzuciła wzrokiem na jego dżinsy i uznała, że slipki. Pew-

nie wygląda w nich równie dobrze jak w spodenkach do pływania, w których widziała go dziesięć lat temu.

Justin wzruszył ramionami.

- Rozpocznym nowy rozdział w życiu.

- Naprawdę?

- Naprawdę.

- Marne szanse - stwierdziła. - Niektóre cechy są w nas głęboko zakorzenione. W twoim przypadku to jest zamiłowanie do porządku.

- Bez trudu zamienię się we fletucha. - Uśmiechnął się przekornie.

- Nie posuwaj się tak daleko. Przyjęłam do wiadomości, że ma tu być przyjaźnie i domowo.

- Właśnie. Chyba dość łatwo stworzyć taki klimat.

- Tak, jeśli dasz mi wolną rękę.

- Nie ma takiej możliwości - zaśmiał się.

- Nie przekroczę budżetu - obiecała.

- Mój budżet pozwala tylko na malowanie.

Marissa nie spodziewała się, że Justin zgodzi się na rewolucję, lecz nie zaszkodzi wybadać teren.

- Ale wysłucham z uwagą każdej sugestii - dodał.

A więc nie wszystko stracone.

- To lepsze niż nic - westchnęła przesadnie.

- Ja tutaj mieszkam.

- Dlatego nie oczekuję, że zaakceptujesz szablon z motywem białych lilii.

Justin zrobił znaczący grymas.

- Mądra kobieta.

- A co powiesz na to? - Spowaźniała. - Musisz ocieplić to wnętrze, więc myślę o beżu, ale nie kremowym, tylko nieco ciemniejszym, który by ładnie kontrastował ze starym dębem.

- Nieźle. - Próbował to sobie wyobrazić.
- W kuchni niech będzie jasno i słonecznie. - Kiedy zmarszczył czoło, zmieniła nieco plan, by go nie zawetował. - Nie mówię o ostrej żółci. Taki kremowo-żółty odcień z dekoracyjnym paskiem z tapety.

- Żadnych kwiatów - uprzedził.

- Co złego...?

- Chandra wytapetowała wszystkie pokoje w kwiaty. Czułem się, jakbym mieszkał w buduarze.

- Dobrze, żadnych kwiatów - powiedziała posłusznie, zadowolona, że zgodził się na kolor żółty, zamiast swojej ulubionej złamanej bieli. - Sypialnia...

- Co ci się nie podoba w sypialni?

- Pokażę ci. - Weszła do środka i rozłożyła ręce.

Justin się rozejrzał.

- I co?

- Masz lampkę z klipsem przypiętą do łóżka.

- Lubię czytać w łóżku - bronił się. - Poza tym nie mam szafki, na której mógłbym postawić lampkę.

- No właśnie. A na oknie wisi czarny ręcznik.

- Zasłona się zniszczyła, a poszewka na poduszkę nie zasłania całego okna.

- Poszewka? - Przewróciła oczami. - Dlaczego nie kupisz nowej zasłony?

- Nie mam czasu. Zresztą ręcznik świetnie się sprawdza.

Marissa miała ochotę wyć.

- Być może, ale musi stąd zniknąć.

- Okej. Odmalujemy ściany i kupimy zasłonę.

- Może jeszcze jakiś obraz na ścianę?

Justin skrzywił się z niesmakiem.

- Mam tutaj spać, a nie podziwiać dzieła sztuki.

- Cele w więzieniu mają więcej charakteru niż twój pokój.

- Dużo czasu w nich spędziłaś? - spytał.

- Wiesz, o czym mówię. Jedyne osobiste akcenty w tym domu to fotografie rodzinne w holu i kubki do kawy w kuchni. Nie mogę uwierzyć, że twoja mama i siostry nic tutaj nie zmieniły, kiedy opiekowały się tobą po wypadku.

Nazwanie katastrofy lotniczej wypadkiem to dość powściągliwe określenie. Marissa nigdy nie zapomniała śmiertelnego strachu ani ogromnej ulgi, których doświadczyła podczas akcji ratowniczej.

- To nie znaczy, że nie próbowały - oznajmił.

- Jak je powstrzymałaś? Poznałam twoją mamę i wydała mi się osobą o silnym charakterze.

- Powiedziałem, że jak przyniosą choć jedną rzecz do domu bez mojej wiedzy, będą musiały wyjechać. - Uśmiechał się z zażenowaniem. - Byłem zły jak diabeł, nie chciały mnie wtedy denerwować.

- A teraz?

- Ja je odwiedzam, więc ich wrażliwość nie jest wystawiona na próbę.

- Jak miło z twojej strony.

- Prawda?

- Wracając do sypialni...

- Będziesz mnie męczyć, póki nie zgodzę się, żeby na ścianach pojawiło się coś więcej niż nowa warstwa farby?

- Jeden obraz. Tylko o to proszę.

Zmarszczył czoło, po czym rzekł zrezygnowany.

- Dobra, ale tylko jeden.

Uśmiechnęła się szeroko. Zrobiła pierwszy krok. Justin

nie miał pojęcia, co jeszcze chodzi jej po głowie, a ona wolała zostawić to na kolejne spotkanie.

- Pamiętaj - powiedziała. - Sypialnia to miejsce, gdzie odpoczywasz po długim pracowitym dniu.

- Odpoczywam? - Podrapał się w brodę. ~ Wolałbym tam robić inne rzeczy.

Spojrzenie Marissy spoczęło na zmiętej pościeli i poduszce, na której widniało wgłębienie w miejscu, gdzie kładł głowę. Gdyby nie znała go tak dobrze, pomyślałaby, że miał w nocy gościa. Poczwała dreszcze, a zaraz potem gorąco. Gdyby naprzeciw niej stał inny mężczyzna, stwierdziłaby, że z nią flirtuje, ale Justin? Nie, on się z nią droczy, jak zwykle, tak jak w college'u. To głupie doszukiwać się nieistniejących podtekstów w cudzych słowach.

Jeśli zamierza poślubić Travisa, musi wystrzegać się podobnych myśli. Marissa przeszła do ofensywy.

- W takim razie licz się z tym, że poniesiesz porażkę, jak przyprowadzisz tu kobietę - odparowała. - Tutaj nie ma nastroju na romantyczne sam na sam.

- Nie przyprowadzę tu kobiety, która zwraca większą uwagę na moje meble niż na mnie - odburknął.

- To najbardziej osobiste miejsce w całym domu. Tutaj zobaczy prawdziwego Justina. Ten pokój ma być odzwierciedleniem twojej duszy.

- Jak chcesz coś odzwierciedlić, zainstaluj lustro nad łóżkiem.

Ten obraz w połączeniu z jej fantazjami mało nie odebrał jej tchu. Pewna, że przyjaciele ze sobą nie flirtują, odezwała się głosem, w którym pobrzmiwała uraza:

- Mógłbyś przestać żartować i posłuchać mnie przez chwilę?

- Tak. - Wyzywający uśmiech zniknął z jego twarzy.
- Co sugerujesz?

- Ciemne męskie kolory - oznajmiła. - Rdzawoczerwony, granatowy, zieleń mchu. Komoda z drewna czereśniowego i szafka nocna. Łóżko z baldachimem.

- Łóżko z baldachimem? - Podrapał się w głowę.
- Interesujące.

Marissa skrzyżowała ramiona. Lekceważenie Justina przypomniało jej ich nocne dyskusje w college'u.

- Jeśli zamierzasz zrobić jakąś niestosowną uwagę...

- Nie, proszę, mów dalej.

- Jeżeli kiedykolwiek wprowadzisz tutaj jakąś kobietę, ona musi odnieść wrażenie, że jest tą jedyną. Obejdzie się bez róż i świec, ale ona musi czuć, że łączy was coś więcej niż seks. Że jest tą, która w końcu dostała się na twój najbardziej prywatny teren, i to ona, a nie żadna inna, sprawi, że zapamiętasz tę noc na zawsze. Tak właśnie bym...

Urwała, zanim wypowiedziała słowo „chciała”. Tak, tego właśnie pragnęła, gdyby została zaproszona do sypialni Justina nie tylko w charakterze dekoratorki wnętrz.

Jej niedokończone zdanie, rzucone z taką pasją, rozległo się echem w ciszy. Przeraziła się, że odkryła swoje najskrytsze myśli i znacząco spojrzała na zegarek.

- Ale późno! - zawołała. - Zamkną nam sklep przed nosem.

A jednak, idąc do samochodu, nie mogła zaprzeczyć temu, co powiedział Justin. Gdyby kochała kogoś całym sercem, nie zwracałaby uwagi na otoczenie.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Urwane zdanie Marissy nie uszło uwadze Justina. A potem znów tak się roztrajkotała na temat jego salonu, jakby bała się, że Justinskomentuje jej przemilczenie. Całą drogę do sklepu usta jej się nie zamykały. Justin tylko uśmiechał się i kiwał głową. Nie wiedziała, że chociaż fizycznie siedział w fotelu kierowcy, myślami pozostał w domu.

Usłyszał tęskną nutę w jej głosie, gdy opisywała mu męską sypialnię. Stwierdził, że albo nigdy nie widziała prywatnego królestwa Pendletona, albo widziała i nie odpowiadało jej wyobrażeniom.

Co z kolei podpowiadało Justinowi, że gdyby mogła stworzyć taką atmosferę, jakiej pragnęła, w jego sypialni, już nie patrzyłaby na Pendletona przez różowe okulary.

Mając na względzie taki cel, zgodziłby się na wszystko - obrazy, zasłony, łóżko z baldachimem. Nie od razu, oczywiście, ponieważ gdyby nagle z entuzjazmem przyklaskiwał każdemu jej projektowi, wzbudziłby w niej podejrzenia. Niech go jeszcze trochę poprzekonuje. Jej cudowny uśmiech, gdy uważała się za wygraną, był wart uszczerbku na jego koncie bankowym.

Ale jeśli ona naprawdę kocha Pendletona?

Niemożliwe, zna go ledwie od paru tygodni. Miłość nie rodzi się w ciągu jednej nocy, przynajmniej taka na dobre i na złe, o którą warto walczyć. A jeżeli ona... jakimś cudem kocha Travisa, czy Justin ma prawo się

wtrącać, nawet pod pozorem oszczędzenia jej bólu? Czy posłuchałby swoich przyjaciół, gdyby go ostrzegli, czy ich ostrzeżenia na temat Chandry stanęłyby na drodze ich przyjaźni?

- Nie podoba ci się kolor? - spytała Marissa.

- Co?

- Zmarszczyłeś czoło. Nie podoba ci się ten odcień żółci?

Zerknął na próbkę farby.

- Podoba. Ale myślałem o pacjencie - wymyślił naprędce.

- Aha. - Wróciła do farb, a on do swoich rozważań.

Może jego przyjaciele uważają, że nie należy się mieszać do jego spraw, ale on zna Marissę od lat. Jaki byłby z niego przyjaciel, gdyby nie ostrzegł jej przed potencjalnym niebezpieczeństwem? Jeżeli ona kocha Travisa, on, Justin, tego nie zmieni. Ale jeżeli go nie kocha, lepiej, by uświadomiła to sobie jak najwcześniej.

Czy ty przypadkiem nie jesteś egoistą? - zapytał się w duchu. Może i tak. Dużo by stracił, gdyby Pendleton i Marissa związali się na dłużej. Jednak przede wszystkim miał na względzie jej dobro. Jeśli Travis nie jest właściwym partnerem dla Marissy, ona musi się tego dowiedzieć, zanim Travis złamie jej serce.

W niedzielne popołudnie Marissa zaczęła żałować, że namówiła Justina do tylu zmian naraz. Z początku malowanie nie wydawało się trudne, ale kiedy pracowali w piątek do północy, a w sobotę od wschodu do zachodu słońca, zmieniła zdanie. Ręce ją bolały od śrubokrętów i pędzli, nogi trzęsły jej się jak galareta po godzinach stania na drabinie.

Justin nie narzekał, ale od czasu do czasu, się przeciągał. Bardzo uważał też na swoją słabszą prawą rękę. Marissa wiedziała, że muszą zrobić przerwę. Wymagało to od niej pewnej pomysłowości, ponieważ gdyby Justin uznał, że robi to przez wzgląd na niego, bardzo by się złościł.

- Nie wiem jak ty, ale mnie boją już nawet te części ciała, których istnienia nie byłam dotąd świadoma - stwierdziła, masując kark. - Nie pogniewałbyś się, gdybyśmy skończyli, jak zrobimy salon?

Justin odłożył wałek na tacę.

- Myślałem, że chcesz skończyć malowanie w weekend.

- Tak, ale jestem wykończona. Zrobiliśmy bardzo dużo. Na pomalowanie drugiej warstwy w sypialni i kuchni wystarczy jeden czy dwa wieczory. W następny weekend dodamy listwy ozdobne.

- Chcesz się dzisiaj wymoczyć w wannie?

- Marzę o tym - odparła. - Ale chwasty Lucy czekają, a Toby'ego trzeba koniecznie wykapać.

Usłyszawszy swoje imię, Toby uniósł łeb. Leżał na zakrytej folią sofie. Jego ciemna broda zrobiła się siwa, a na futrze widniało kilka żółtych i zielonych plam.

- Wygląda fatalnie, głupi kundel - stwierdził czule Justin, przenosząc wałek do lewej ręki.

- Wścibski kundel - poprawiła, rzucając życzliwe spojrzenie w stronę psa. - Dobrze mu robi, jak sobie pobiega po podwórku Lucy. Mnie też nie zaszkodzi trochę świeżego powietrza.

- Przekonałaś mnie. Kończymy na dzisiaj.

Po kilku minutach Marissa odsunęła się od ściany i popatrzyła na efekt swojej pracy krytycznym okiem.

- Dobrze się spisaliśmy, St. James.

Justin otarł czoło.

- Cieszę się, bo prędko tego nie powtórzę - mruknął, zanurzając znowu wałek w farbie.

- W takim razie może odmalujemy też dwie pozostałe sypialnie, skoro już i tak się męczymy. Toby się zgadza - dodała, gdy pies szczechnął.

- On nas pogania do wyjścia.

- Niewykluczone - przyznała. Potem, ponieważ lewa ręka Justina poruszała się dosyć sztywno, zaproponowała: - Ja to zrobię.

- Nie trzeba. - Zaatakował ścianę z większym entuzjazmem niż talentem. Krople farby pokryły go od stóp do głów.

- Jestem pod wrażeniem. Stajesz się oburęczny.

Justin zmierzył ją wzrokiem.

- Nie posunąłbym się tak daleko, ale radzę sobie. Skończę ten fragment, a ty umyj pędzle.

- Ominąłeś jedno miejsce.

- Niemożliwe. Taką ilością farby pomalowałbym całą przecznicę.

- Może; ale tutaj - wskazała ręką - trzeba poprawić. Justin przyjrzał się bacznie.

- Dobrze już. Gnębicielka - mruknął pod nosem.

Z szerokim uśmiechem ruszyła do kuchni.

Nucąc radośnie, płuwała pędzle z satysfakcją. Jej wyobrażenie tego siedliska powoli nabierało kształtu. Niedługo dom Justina stanie się równie przytulny jak jej. Pewnie nie zdawał sobie sprawy, że przywiązywała do tego ogromną wagę. Jeżeli między nią i Travisem wszystko się ułoży, pragnęła, by Justin miał własny ciepły kąpiel. Do tej pory znajdował go w jej domu, a w swoim tylko padał z nóg i spał, kiedy nie miał już dokąd pójść.

Niezależnie od tego, czy Justin sobie to uświadamiał, to będzie jej ostatni podarunek dla niego.

Ta myśl powinna być jej miła, tymczasem Marissę przeszył ból - słodko-gorzki ból straty.

Niczego nie traci, powiedziała sobie stanowczo, jak zwykle uciekając się do pomocy logiki dla zrównoważenia niepojętych tęsknot. Nie można stracić czegoś, co do nas nie należało. Justin widział w niej jedynie przyjaciółkę, i daremnie byłoby nad tym lamentować. Ona znalazła mężczyznę swojego życia, a pewnego dnia Justin spotka tę jedyną kobietę.

Póki co, czeka na nią pies, który chce się wybiegać, i chwasty, które trzeba Wyrwać.

Zakręciła wodę i wytarła ręce w papierowy ręcznik.

- Jak ci idzie? - zawołała.

Odpowiedział jej jakiś łomot, potem głośne szczekanie i jeszcze głośniejsze przekleństwo. Pobiegnęła do drzwi i z trudem powstrzymała wybuch śmiechu.

Na podłodze leżał przewrócony pojemnik z farbą, wokół którego powstało kolorowe jezioro. Justin stał obok, cały w farbie, która spływała także strumieniami po ścianie, tworząc kałuże na podłodze i ochronnej folii. Meble też zostały popryskane. Toby stał na sofie z uniesionym ogonem, równie zdziwiony jak Justin.

- Co się stało? - spytała Marissa, podejrzewając, że Justin potknął się o puszkę, którą zostawiła na podłodze.

- Upuściłem tę cholerną puszkę - warknął.

- Wypadki chodzą po ludziach - oznajmiła pogodnie.

- Pomogę ci posprzątać.

- Ja nabrudziłem i ja posprzątam - złościł się. - Wracaj do swojej roboty.

- Już prawie skończyłam.

- Ja się tym zajmę.

Wyraźnie nie życzył sobie jej pomocy.

- Dobra, zaraz wracam.

Nie chciała zostawiać Justina samego. Bardzo brał sobie do serca swoją niepełnosprawność po wypadku. Marissa uważała, że nie warto się aż tak przejmować. Dzisiejsze zdarzenie mogło się przytrafić każdemu. A jednak nie miała wyboru, musiała uszanować jego prośbę.

Bez słowa poszła do kuchni i osuszyła pędzle. Nie mogła jednak znieść ciszy panującej w pokoju, więc prędko tam wróciła. Justin nie od razu ją zauważył, przypatrywał się wielkiej plamie na wykładzinie, której nie zapobiegła ochronna folia. Marissa w milczeniu wyniosła puszkę z farbą, a także tace i wałek, a gdy weszła znów do pokoju, Justin i Toby siedzieli razem na sofie.

Marissa przegoniła psa i zajęła jego miejsce. Sięgnęła po prawą dłoń Justina i zaczęła ją lekko masować.

Miał zeszywniałe mięśnie. W duchu obwinięła się za to, zarzucając sobie brak rozsądku.

- Nie powinnam była tak cię poganiać - przeprosiła.

- Ale znasz mnie. Nic nie robię na pół gwizdka.

Lekko unióśł kąćki warg.

- Sam tego chciałem.

- Za bardzo naciskałam.

- Wierz mi albo nie, ale znam swoje możliwości.

- Na jego twarzy pojawił się lekki uśmiech. - Nawet jeśli nie zawsze to widać. Boże, ale mi dobrze. - Oparł plecy i zamknął oczy.

Marissa masowała jego nadgarstek i przedramię.

- Cieszę się. - Rozmasowywała najbardziej napięte miejsca, z przyjemnością go dotykając.

- Pokonam to.

Nie była pewna, czy powiedział to do siebie, czy do niej. Ortopedzi twierdzili, że Justin zrobił większe postępy, niż się spodziewali. Ale nie byli w stanie przewidzieć, czy dokona czegoś więcej. Nie chciała, by robił sobie złudne nadzieje, a z drugiej strony nie powinien się poddawać.

- Wiem - rzekła łagodnie.
- Nienawidzę tego.
- Wiem - powtórzyła.

Justin nigdy nie ulegał słabościom, choć nie osądzał tych, którzy byli słabi. Po prostu stawiał sobie wyżej poprzeczkę. Twardziel, podsumowała go. Niestety, jeśli takie nastawienie ma sens przy lżejszych dolegliwościach, w jego przypadku jest dyskusyjne.

- Mogłeś zginać - podjęła. - Słaby nadgarstek to nic w porównaniu z tym.

- Tak, ale...

- Nie zmarnuj tego, co już osiągnąłeś. To, że od czasu do czasu musisz sobie zrobić przerwę, nie zmieni mojego zdania o tobie. - Kiedy skinął głową, dodała: - Jak spojrzysz na to zdarzenie z większym optymizmem, zobaczysz, że wyniknęło z tego kilka dobrych rzeczy.

Szeroko otworzył oczy ze zdumienia.

- Tak?

Marissa skupiła się na jego dłoni.

- Mam teraz swojego chłopca na posyłki.

Justin się zaśmiał.

- Ktoś musi dostarczyć wodę sodową, przekąski czy więcej puszek farby.

- Więcej farby?

Roześmiała się, widząc jego przerażoną minę.

- Uspokój się, to tylko przykład. Powinno nam starczyć farby, chyba że wylejesz kolejną puszkę.

- Nie wyleję specjalnie - oburzył się. - Jeszcze jakieś plusy?

- Sądząc z wielkości tej plamy, przewiduję nową wykładzinę.

Justin westchnął.

- Tego się obawiałem.

- A także kanapę.

- Moja jest najbrzydsza na świecie, za to wygodna.

- Tylko dla ciebie - stwierdziła. - Obicie jest szorstkie i drapie jak koc wojskowy mojego dziadka.

- Może wystarczy przestawić meble.

Nadzieja w jego głosie rozbawiła Marisę.

- Jak postawimy kanapę zaplamioną stroną do ściany, nie będziesz miał przejścia. Poza tym feng shui...

- Kogo obchodzi feng shui?

- I musiałbyś przesunąć telewizor z rogu - zauważyła.

- Dlaczego?

- Bo nie będziesz widział ekranu.

- Nie ma sprawy, mam długi kabel.

- Ludzie będą się o niego potykać.

- Więc poproszę instalatora...

- Kup nową kanapę. To o wiele prostsze.

- Nie ciesz się tak.

- Nie cieszę się - odparła z uśmiechem. - Nie tak bardzo.

- Mógłbym pomyśleć, że to zaplanowałeś.

- Przytąpałeś mnie. - Zaczęła znów masować jego przedramię. -I jak?

- Lepiej niż dobrze. Jeśli zostaniesz kiedyś masażystką, będę u ciebie co tydzień. Naprawdę działasz cuda.

Jakoś nie mogła sobie wyobrazić, że masuje jego całe ciało.

- Dzięki, ale zostawię to profesjonalistom. - Niechętnie oderwała od niego dłonie. - No, jesteś jak nowy.

- Tak myślisz?

- Nie biorąc pod uwagę plam z farby. - Dotknęła jego prawego policzka i poczuła zarost. Pod wpływem impulsu przesunęła palce na jego wargi.

- Potem się nimi zajmę. - Chwycił ją za rękę. - Dzięki, Mari, za wszystko.

Niespodziewanie przyciągnął ją, aż oparła dłoń o jego koszulę. Musnął jej wargi, po czym zamienił to w pocałunek, który wymagał odpowiedzi. Nie myśląc o konsekwencjach, Marissa uległa magicznej chwili, zdumiona reakcją, którą wzbudził w niej ten niewinny i niezaplany gest. Przypominało jej to wyładowania atmosferyczne tuż przed głośnym grzotem, kiedy oczekiwanie na zbliżającą się burzę wyostrza zmysły.

I na dodatek bardzo jej się to podobało.

Ale w końcu dlaczego nie? Ma dwadzieścia dziewięć lat i dotąd nie doświadczyła takiego pocałunku. To nie znaczy, że nigdy się nie całowała, ale żaden inny mężczyzna nie wywołał w niej takiego dreszczu podniecenia.

Nawet Travis.

Co ona wyprawia? Nie wolno jej tak myśleć, to nie w porządku wobec Travisa.

Ale czuła się fantastycznie. I ogarnęło ją nieodparte pragnienie, by Justin zrobił coś więcej. Zanim określiła, co znaczy owo „więcej”, Toby zaszczekał i czar przysł.

Zacisnęła pięść, by nie czuć bicia serca Justina, i zerknęła na Toby'ego. Terier przeszywał ją wzrokiem, przechylając łeb, zdumiony i zaciekawiony.

Jestem tak samo zakłopotana jak ty, pomyślała. Toby

wskoczył jej na kolana, jego konsternacja minęła szybko. Justin zaśmiał się i położył rękę na głowie psa.

- Pozazdrościłeś nam, co?

Toby wydał taki dźwięk, jakby przytakiwał.

A czego tu zazdrościć, pomyślała Marissa. To tylko pocałunek mężczyzny, którego zna od lat, zwyczajny pocałunek wdzięczności za ulgę, jaką sprawiła mu krótkim masażem. Nawet nie spróbuje myśleć inaczej.

Rozładowanie napięcia - zanim Justin zada pytania, na które ona nie może odpowiedzieć - stało się teraz najważniejsze. Potem pomyśli o konsekwencjach. W tej chwili musi znaleźć jakiś zabawny concept, by zgasić fruujące w powietrzu iskry. Każda poważna uwaga nadałaby temu incydentowi znaczenie. Lepiej uznać, że to nieistotne, bo tak właśnie było.

- No, Justin - odezwała się, siląc się na beztroski ton i nie patrząc mu w oczy. - Ależ ty całujesz. Aż dziw, że tylko raz byłeś żonaty. - Zrzuciła Toby'ego z kolan i wstała. - Lecę do domu wyszczotkować psa, bo inaczej będzie w kropki.

Justin także się podniósł.

- Pomogę ci w ogrodzie Lucy.

- Nie musisz - powiedziała, idąc do drzwi z Tobym pod pachą. Spieszyła się do wyjścia i nie chciała tracić czasu na gonienie psa po domu Justina. Toby czuł się w nim wspaniale, pewnie dlatego, że było tam tyle różnych ciekawych rzeczy, nie wspominając o tym, że radośnie zmiatał kurz i okruchy, które umknęły uwadze Justina podczas sprzątanía. - Wyrwanie chwastów może ci zaszkodzić. Nie chciałbyś chyba, żeby mój wysiłek poszedł na marne.

- No to nie będę plewił, ale bardzo poważnie traktuję

swoją pracę chłopca na posyłki. I jeszcze raz dziękuję - rzekł, kiedy dotarli do wyjścia.

Marissa miała chęć puścić Toby'ego wolno i wziąć w ramiona Justina, ale byłoby to głupotą. Justin nie jest zainteresowany stałym związkiem z żadną kobietą, a już na pewno nie z nią. Ją czeka jasna przyszłość z Travisem. Nie ma żadnego interesu w tym, by nadal marzyć o mężczyźnie, który stoi naprzeciw niej.

Niestety, te fakty i napomnienia nie złagodziły jej tęsknoty. Zdumiona nielogicznymi myślami, ścisnęła Toby'ego niczym talizman, który ma ją chronić, aż pies zapiszczał z bólu.

- Przepraszam - szepnęła.

Spiesząc do samochodu, powtarzała sobie, by nie wyolbrzymiać sprawy pocałunku. Na Justinie nie zrobił on żadnego wrażenia. Ale przecież on uważa ją tylko za przyjaciółkę, która zrobiła mu przysługę. Powinna to sobie raz na zawsze wbić do głowy.

Co się właściwie stało? - zastanawiał się Justin, gdy Marissa pognała dół samochodu. Jego serce waliło, jakby ustanowił nowy rekord w biegu na kilometr. Wciąż czuł na swojej skórze jej delikatną skórę.

Kiedy rozmasowała jego dłoń i nadgarstek, odezwał się w nim zupełnie naturalny instynkt. Ale skąd się wziął, nie miał pojęcia. Chciał tylko dać jej całusa w dowód wdzięczności, a tymczasem przyciągnął ją do siebie, a ona mu uległa. Zaś kiedy poczuł smak jej warg i zapach jej oddechu, zapragnął zanieść ją do sypialni, którą tak skrytykowała, i zamienić swoje fantazje w rzeczywistość.

Nie pamiętał, kiedy ostatnio był tak podniecony.

Oczywiście, podświadomie dostrzegał, że Marissa jest atrakcyjną kobietą, na długo zanim dopuścił to do świadomości. Pocałunek zaostrzył jego apetyt. Teraz postrzeganie jej tak jak do tej pory było równie niemożliwe, co zatrzymanie wiatru.

Nagle to, czego dotąd nie potrafił wyjaśnić, zaczęło nabierać sensu. Powód, dla którego zainteresowanie Pendletona Marissą tak go niepokoiło, przerażenie wywołane uwagą Lucy, że powinni być razem, ból spowodowany stwierdzeniem Marissy, że nie jest w jej typie. Zazdrość o Trvisa i determinacja, by odsunąć go od Marissy.

To wszystko świadczy o tym, że jego uczucia do Marissy nie są wyłącznie przyjacielskie. Nie rozumiał tego, a może nie chciał tego widzieć.

Dla mężczyzny, który uważa, że miłość to nie jego bajka, uświadomienie sobie, że wciąż jest do niej zdolny, jest prawdziwym szokiem. A może to tylko pożądanie? Powtórka znajomości z Chandrą, kiedy decydowały za niego hormony?

Nie, ta sytuacja była jednak inna. Chandry nie znał tak długo ani tak dobrze jak Marissę. Pytanie, czy jest znowu gotowy na miłość? Niewykluczone, pomyślał, pod warunkiem że to, co się zdarzyło, nie zdarzyło się tylko pod wpływem chwili. A jeśli jest gotowy, co dalej?

Sądząc z tempa, w jakim Marissa wybiegła z domu, była jak on zszokowana magią pocałunku. Zresztą nie pozostała obojętna, kiedy ją całował.

Lucy mówiła coś o budowaniu na fundamentach przyjaźni. Ale czy mogą zbudować coś silniejszego niż przyjaźń? Coś trwałego, co mógłby pewnego dnia nazwać miłością? Nie przekona się, jeżeli nie spróbuje. Może poniesie klęskę, ale porażką byłoby też poddanie się bez

walki. Szczęśliwie doznał objawienia, nim Pendleton wsunął obrączkę na palec Marissy, więc może los będzie mu sprzyjał.

A w międzyczasie musi wyrwać chwasty zarastające petunie i wykopać psa.

W poniedziałek rano Justin spotkał Kristi, kiedy wchodziła do pokoju pielęgniarek.

- Gdzie jest Marissa? - spytał, rozglądając się ukradkiem.

Kristi usiadła przed komputerem.

- W laboratorium. Wróci za dziesięć minut.

- To dobrze - rzekł, podchodząc do krzesła. - Dowiedział się czegoś o Pendletonie?

Kristi westchnęła.

- Nie lubię tego węszenia. Pakujemy się w kłopoty.

Obrzuciła go zbolałym spojrzeniem i znowu westchnęła.

- Jak dotąd większość osób mówi, że to przyzwoity gość, choć nieco wyniosły. Ciężko pracuje, w przeciwieństwie do poprzedniego szefa. No i ma świetne wyniki.

- Wszyscy go lubią?

- Kilku wspomniało, że dobrze kieruje biurem. Prawie wszyscy stwierdzili, że nie zostanie długo w Hope, interesują go większe wyzwania. Nikt nie zgłaszał poważnych zastrzeżeń.

Nie to Justin chciał usłyszeć.

- Na pewno ma jakieś wady.

Kristi wzruszyła ramionami.

- Wybacz, ale jedyna skarga, jaką usłyszałam, dotyczyła redukcji budżetu wszystkich wydziałów o dwadzieścia procent.

- Cięcia budżetowe nie są popularne.
- Niektóre z jego cięć nie są - przyznała. - Ale trudno się dziwić. Nikt nie chce zrezygnować ze sprzętu czy usług, do których przywykł. Mój kuzyn mówi, że budżet ich działu został zredukowany do minimum.

- Jak to możliwe?

- Albo będą mniej spryskiwać, albo przejdą na środki gorszej jakości. Nikt nie przejmuje się chwastami w parku. A jak dobrze będzie wyglądać życiorys Pendletona, kiedy napisze, że samodzielnie zbilansował budżet miasta.

Kristi zniweczyła nadzieje Justina na znalezienie haka.

- Żadnych innych plotek?

- Żadnych. Co teraz?

- Dam ci znać. Miej oczy i uszy otwarte.

- Jak zrujnujesz jej życie, więcej się do ciebie nie odezwie - ostrzegła. - Ona nie potrzebuje starszego brata.

Poklepał ją po ramieniu.

- Nie martw się. Wszystko jest pod kontrolą.

Kristi odchyliła się na krześle i skrzyżowała ramiona.

- Jeżeli pozbędziesz się Travisa, w jej życiu powstanie luka, i to z twojej winy.

- Wiem.

- Co wtedy zrobisz?

- Co masz na myśli? - spytał zaniepokojony.

- Mężczyźni! - mruknęła, przewracając oczami. - Czy dalej będziesz udawał, że jesteście tylko przyjaciółmi i odganiał od niej wszystkich wolnych mężczyzn, czy przestaniesz wreszcie tchórzyc?

- Nie rozumiem. My jesteśmy przyjaciółmi.

- Och, daj spokój - rzuciła. - Znam małżeństwa, w których żona i mąż widują się rzadziej niż wy.

- Jesteśmy przyjaciółmi - powtórzył, zastanawiając

się czy brzmi tak niepewnie, jak się czuje. - Wiele nas łączy.

- Bez wątpienia.

- Co to znowu ma znaczyć?

Odwróciła się do niego.

- Będę szczerą. Zawsze dziwił mnie twój związek z Marissą. Jesteście przyjaciółmi, a zachowujecie się, jakbyście znaczyli dla siebie więcej. Rozumiem twoje intencje wobec Travisa, ale jesteś przesadnie opiekuńczy.

- Nieprawda.

- No to wymień innego przyjaciela, którego próbowałeś uratować przed złym związkiem.

Justin otworzył usta, po czym szybko je zamknął.

- Widzisz? Możesz zaprzeczać, ale moim zdaniem sam nie wiesz, czy chcesz z nią być, czy tylko nie pozwalasz, żeby był z nią ktoś inny.

Miała rację, lecz stare nawyki - i bolesne wspomnienia - nie umierają tak łatwo.

Kristi pochyliła się.

- Nie wiem nic o twoim małżeństwie, ale Marissą zasługuje na coś więcej niż okruchy.

Wzdrygnął się. Tak, dawał Marissie tylko okruchy, ale nie miał nic więcej. Co prawda to nie tłumaczy, dlaczego odmawiał jej czegoś lepszego, niż sam oferował. Poczucił się pusty i samolubny.

Więc co ma teraz zrobić?

- Dzięki, że utrzymałaś to w tajemnicy i oszczędziłaś moje uczucia - rzekł cierpko.

- Wybacz. - Kristi była nieugięta. - Przemyśl to.

Jakby mógł myśleć o czym innym! Ale póki co, musi urządzić dom.

Marissa nigdy się tak nie cieszyła, że znów jest poniedziałek. Dzięki Bogu nie padło ani słowo więcej na temat sypialni Justina, ale wspomnienie pocałunku co i rusz wpływało na powierzchnię.

Mówiła sobie, że to minie, gdy tylko spotka się z Travisem. Miał wrócić nazajutrz wieczorem. Może wówczas przestanie obsesyjnie myśleć o czymś tak błahym jak pocałunek i skupi się na poważnym związku.

Niezależnie od kilku nerwowych chwil, nie nazwała-by minionego weekendu nieudanym. Sporo zrobili w domu Justina i wypielili ogród Lucy, choć przy okazji wyrwali kilka petunii. A z sierści Toby'ego podczas kąpieli szczęśliwie zeszła farba.

Niestety, dla Lonniego te dni nie były najlepsze.

- Zapalenie płuc nie mija? - spytała Abby.

- Antybiotyk nie działa tak szybko, jak byśmy chcieli - odrzekła dyplomatycznie Marissa. - Jeszcze raz pobiorą ślinę do badania. Może pojawiła się nowa bakteria, trzeba by wtedy zmienić antybiotyk albo dodać nowy.

Abby głaskała chudą rękę męża, a Marissa sprawdzała odczyty na monitorach i woreczek, w którym zbierał się mocz.

- A jego ataki? - spytała Abby.

Marissa dowiedziała się podczas porannej odprawy, że u Lonniego pojawiły się ataki padaczki, a puls stał się nieregularny. Zmieniono dawkę leków przeciwpadaczkowych z nadzieją, że nastąpi poprawa. Ale biorąc pod uwagę ogólny stan pacjenta, nie były to dobre oznaki.

- Staramy się nad nimi panować - odparła.

Abby skinęła głową.

- Wczoraj otworzył oczy. Uśmiechnął się do mnie

i uściśnął mi dłoń, zanim dostał ataku. Boże, jak ja tęskniłam za jego uśmiechem.

Jej głos drżał. Marissa nie miała serca wyjaśniać jej, że to mimowolne reakcje. Nie musiała tego robić.

- Wiem, co myślisz - ciągnęła Abby. - Że to tylko skurcze mięśni, ale przez kilka sekund był tutaj. Wiesz, o czym mówię?

Marissa przytaknęła.

Abby zamilkła na dłuższą chwilę i tylko znajome pomrukiwanie urządzeń zakłócało ciszę.

- Doktor St. James pytał mnie znowu, czy podpiszę ten papier o przerwaniu reanimacji.

- To trudna decyzja - przyznała Marissa. - Musisz rozważyć wiele kwestii.

Abby powoli kiwała głową.

- Powinam pozwolić mu odejść, ale nie potrafię. Przynajmniej dopóki dziecko nie przyjdzie na świat. Kiedy okazało się, że jestem w ciąży, codziennie znosił coś do domu. - Jej spojrzenie stało się odległe. - Najpierw rękawicę do koszykówki, potem lalki. - Uśmiechnęła się. - Powiedział, że chce być gotowy na wszystko.

- Więc mam szukać rzeczy dla dziewczynki czy dla chłopca? - zażartowała Marissa.

- Nie wiem, ale coś mi mówi, że to chłopiec. - Wciągnęła powietrze i pogłaskała brzuch, po czym skrzywiła się i pochyliła. - No, to był skurcz.

- Może powinnaś zadzwonić do położnika?

- Od tygodnia to mam. Doktor Jennings mówi, że bym się nie przejmowała. Posiedzę chwilkę i minie.

Marissę dobiegł odległy dźwięk dzwonka. Niechętnie zostawiała Abby, ale musiała się zająć innymi pacjentami.

- Jak ci nie przejdzie, naciśnij ten przycisk, to zaraz przybiegnę.

- Dobrze.

Ale nim Marissa dotarła do drzwi, Abby jęknęła i zgięła się wpół. No tak, mały Newland spieszy się na świat.

- Wezwę lekarza - powiedziała Marissa.

Abby pokręciła głową.

- Jeszcze nie. Ale gdybyś mogła zadzwonić do Erica, żeby mnie zawiózł do domu...

Eric był szwagrem Abby, chodził z nią do szkoły rodzenia. Jego numer znajdował się w pokoju pielęgniarek.

- Jasne. Dam ci znać, jak go złapię.

Na szczęście Eric odezwał się natychmiast.

- Będę w ciągu kwadransa - obiecał.

Marissa rozłączyła się z ulgą. Dzięki Bogu Abby nie będzie rodzić sama.

A jednak, czy mając przy sobie kogoś innego niż ukochany mąż, nie będzie czuła się samotna?

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Justin chciał się przekonać, czy przyjaźń z Marissą może przerodzić się w coś więcej, lecz nic mądrego nie przychodziło mu do głowy. Mógł tylko spędzać z nią czas - co zawsze robił - i liczyć, że jakiś plan pojawi się w odpowiednim momencie.

Złapał Marissę, kiedy skończył obchód.

- Masz ochotę na barbecue w nowej restauracji?
- No... - zawahała się.
- Ja stawiam - zachęcił.
- Z jakiej okazji?
- Chcę ci podziękować za urządzenie domu.
- W takim razie zgoda. Kiedy?
- Dziś wieczorem?
- Mieliśmy obejrzeć wykładziny - przypomniała.
- Najpierw zajrzemy do sklepu, a potem zjemy. Przyjadę po ciebie o wpół do siódmej.

Nie zdążyła mu nawet przytaknąć, gdy wezwano go na oddział.

- Co się stało? - spytał młodą pielęgniarkę o imieniu Ellie.

- To pan Dalton w dwunastce - odparła. - Podajemy mu to, co pan zalecił, ale poziom cukru wciąż mu skacze. Czy mamy zmienić dawkę, czy podać inną insulinę?

Justin zmarszczył czoło.

- Dostaje już dwa rodzaje insuliny. - U Daltona przed

tygodniem zdiagnozowano cukrzycę, gdy nieprzytomnego przywiozła go karetka. - Może ktoś przypadkiem zmienił mu dietę? - spytał.

Błędy czasami się zdarzają, gdy zmęczone salowe źle przeczytają informacje.

Pielęgniarka zaprzeczyła gwałtownie.

- Dwa razy sprawdzałam.

- Gdybym miał zgadywać, powiedziałbym, że nasz pacjent nie współpracuje tak, jak powinien. Porozmawiam z nim.

W chwili, gdy Justin wszedł do pokoju Daltona, powód wahań poziomu glukozy stał się oczywisty. Sześćdziesięciodwuletni Kyle Dalton siedział z pączkiem w ręce, nad jego górną wargą widniały wąsy z cukru pudru.

- No tak - zaczął Justin, zadowolony, że tak szybko poznał prawdę i zirytowany, że pacjent ignoruje polecenia. - Jestem pewien, że nie dostał pan tego na śniadanie.

Kyle wrzucił resztę pączka do papierowej torebki i otarł wargi, ogromnie rozczarowany.

- Przepraszam, doktorze - rzekł. - Wasi kucharze słabo karmią. Po posiłku jestem tak głodny jak przed. No i smakuje obrzydliwie. Niedogotowane jajka, zimne kiełbaski, woda, którą nazywają rosołem. Taka dieta to nie dla mnie.

Kyle pracował jako brygadzysta na budowie i nie brakowało mu ruchu, ale powinien zrzucić co najmniej dwadzieścia kilogramów.

Justin zwrócił się do jego żony. Łatwo było zgadnąć, że całe życie spełniała życzenia małżonka.

- To pani przyniosła pączki?

Przytaknęła skinieniem głowy, unikając wzroku Justina.

- Miałam już dość narzekań męża, że jest głodny. Zresztą i tak je mniej, odkąd tu jest - zapewniła pospiesznie. - Czasem tylko pączek albo batonik...

Justin wziął głęboki oddech, by nie wybuchnąć. Pacjenci zwykle słuchali jego zaleceń, bo chcieli wyzdrowieć. Niestety, zdarzali się i tacy, którzy uważali, że medycyna dysponuje jakimś cudownym środkiem, działającym niezależnie od niezdrowego stylu życia.

- Może nie mamy szefa kuchni z prawdziwego zdarzenia, ale panu absolutnie nie wolno tego jeść - oświadczył. - Chyba że chce pan mieć za wysoki poziom cukru.

- Lubię słodycze - bronił się Kyle. - Nie możecie mi zwiększyć dawki insuliny?

- To nie jest rozwiązanie. Cukrzyca wymaga zmiany stylu życia. Jeśli nie posłucha pan moich rad, wkrótce znowu wyląduje pan na erce, pewnie w śpiączce, która jest właściwie nieodwracalna. Chętnie zawiozę pana na górę, żeby pan zobaczył człowieka w śpiączce, z której raczej się nie obudzi. Jeśli potem będzie pan obstawał przy swoim, nie będę panu przeszkadzał.

Na twarzy Kyle'a pojawiło się wahanie.

- Próbuje mnie pan przestraszyć - zaczął.

- Tak. Jeśli śpiączka pana nie przestraszy, to może wylew zrobi na panu wrażenie. Poza tym złe krążenie i infekcje mogą nas zmusić do amputacji kończyn. Podobają się panu taka perspektywa? Gwarantuję, że spotka pana jedno albo drugie, jeśli nadal będzie pan tak postępował.

Kyle pobladł.

- Mówi pan poważnie?

- Śmiertelnie poważnie. Znam mnóstwo cukrzyków, którzy żyją normalnie. Znam też chorych, którzy zlek-

ceważyli zalecenia lekarzy i zapłacili za to. Wybór należy do pana.

Zapadła wymowna cisza.

- Więc? - spytał Justin.

- Będę przestrzegał diety - rzekł z niechęcią Kyle.

Justin zwrócił się znów do żony pacjenta.

- A pani nie będzie mu nic przynosić?

- Nie będę - obiecała.

- Trzymam was za słowo. Bo jeśli nie, poszukajcie sobie innego lekarza. Nie pomogę komuś, kto tego nie chce.

- Mąż będzie wzorowym pacjentem - powiedziała pani Dalton, zerkając na męża.

Kyle skinął głową zrezygnowany, a pani Dalton sprawiała wrażenie, jakby urosła o kilka centymetrów. Jeśli Kyle zacznie znów oszukiwać, nie stanie się tak z jej błogosławieństwem.

Pozostała część dnia pracy minęła spokojnie. Justin zerkał na zegarek i liczył godziny dzielące go od spotkania z Marissą. Nigdy się tak nie niecierpliwił. Dokąd go to zaprowadzi?

Najpierw zaprowadziło go do sklepu z dywanami, a potem do restauracji. Kiedy czekali na zamówione dania, zdał sobie sprawę, jak dobrze czuje się w towarzystwie Marissy. Nie było żadnych chwil milczenia, kiedy rozmowa się nie klei, żadnego popisywania się czy owijania w bawełnę. Znali się na to zbyt dobrze.

Może jednak istnieje dla nich jakaś szansa...

Marissą rozglądała się po restauracji. Na stolikach leżały obrusy w czerwonej kratę, paliły się świece, ściany zdobiły zabawne rysunkowe portrety kucharzy, a serwetki

były wielkości małych ręczników. Atmosfera w Buck's Barbecue była tak radosna jak na pikniku z okazji czwartego lipca. Od czasu do czasu ktoś wrzucał monetę do szafy grającej, by usłyszeć ulubioną piosenkę country.

- Miłe miejsce - powiedziała, przekrzykując gwar.
- Tak, a jedzenie jest podobno fantastyczne.

Marissa spojrzała na talerz z gorącymi żeberkami, który kelner podał do sąsiedniego stolika.

- W każdym razie na pewno nie skapią jedzenia. Będziemy potrzebowali pojemnik na wynos.

- Przynajmniej jeden - zgodził się. - A Toby będzie w siódmym niebie, jak dostanie kości.

- Jeśli je dostanie - zauważyła.
- Nie podzielisz się z nim?
- Nie chcę, żeby ciągnął kość z tłustym sosem po domu, a potem jeszcze się nią zakrztusił.
- Nie zamierzasz kupić sobie nowej wykładziny?

Marissa się zaśmiała.

- Widziałam ceny, nie stać mnie. A która tobie się podobała? Nie mów tylko, że najtańsza.

- Jak zgadłaś?
- Nigdy się nie zmienisz.
- Och, nie wiem - rzekł pogodnie. - Może cię zaskoczę.

Kiedy omawiali wybrane próbki, Marissa odniosła wrażenie, że przy stolikach siedzą same pary. Jedna w szczególności zwróciła jej uwagę. Mężczyzna i kobieta trzymali się za ręce. Nagle zrobiło jej się żal, że ona i Justin są tylko przyjaciółmi.

Natychmiast skarciła się za tę myśl. Travis wraca do domu. Za kilka dni Justin nie będzie już potrzebował jej pomocy i życie wróci do normy. To dziwne, że po tylu

latach przyjaźni coś się między nimi zmieniło. Nadal rozmawiali i żartowali, ale atmosfera była inna, jakby powietrze było naelektryzowane.

A wszystko z powodu jednego pocałunku. Starła się nie nadawać mu wagi. Justin w ogóle o nim nie wspominał, pewnie poradził sobie z tym lepiej niż ona. Powinna iść w jego ślady. Ale gdy pochylił się nad stołem z serwetką, by otrzeć jej wargi, na ułamek sekundy w jego oczach pojawił się jakiś błysk.

- Sos - wyjaśnił.

Marissa wytarła usta własną serwetką.

- Dzięki.

Natychmiast ujrzała w wyobraźni, jak Justin scałowuje sos z jej warg. Boże drogi, ale się narobiło!

Jeżeli Justin dotąd powątpiewał, czy ich relacja ma szanse się zmienić, po tej kolacji jego wątpliwości zniknęły. Zauważył, że Marissa wstrzymała oddech, gdy chciał wytrzeć tę nieszczęsną kroplę sosu. Jej wzrok zatrzymał się na jego wargach, i popatrzyła tak jakoś tęsknie. Nie zwróciłby na to uwagi, gdyby nie był wyczułony. Zastanawiał się, ile takich znaków umknęło wcześniej jego uwadze. Tak czy owak nie jest jej obojętny.

Chętnie rozważyłby całą tę sytuację, ale z samego rana spotkał Jareda Tremaine'a, szefa oddziału ratunkowego szpitala w Hope.

- Masz chwilkę? - spytał Jared.

- Nie bardzo. O co chodzi?

- Nie było cię na porannym spotkaniu.

Justin strzelił palcami.

- Cholera, zapomniałem.

- Rozmawialiśmy głównie o gorączce zachodniego

nilu. Miejscowa gazeta zainteresowała się liczbą przypadków w naszym okręgu. Chce przeprowadzić wywiad z jakimś lekarzem. O symptomach, leczeniu, prewencji, etcetera.

- Dobry pomysł. Kto będzie tym nieszczęśnikiem czy szczęściarzem?

- Ty.

- Ja? Dlaczego? ^jęknął Justin.

- Bo wiesz najwięcej na ten temat.

- Norm Allen lubi takie rzeczy. Niech on to zrobi.

- Ma osiemdziesiąt lat i przyjmuje tylko kilku pacjentów, kiedy nie łowi ryb. Nie jestem pewien, czy wie o tym wirusie więcej niż dziennikarze.

- A co...?

Jared potrząsnął głową.

- Nie sprzeczasz się ze mną. Głosowaliśmy i jednoznacznie wybraliśmy ciebie.

- Bo nie mogłem się bronić.

Jared się uśmiechnął.

- Niech będzie dla ciebie nauką. - Pokręcił głową z udawanym współczuciem.

- Jak powiem, że jestem zajęty, to nic nie da?

- Nie da. - Jared klepnął go w plecy. - Spójrz na to w ten sposób. Znasz szczegóły na pamięć. Leczyłeś najtrudniejsze przypadki w okolicy. Wybraliśmy najlepszego kandydata.

- Jezu, dzięki.

- Aha, ten wywiad jest o piątej. Celowo umówiłem cię na koniec dnia, żeby to nie kolidowało z obowiązkami.

- Jestem zachwycony twoją troską - odrzekł Justin.

- Może się z tobą skontaktować Virginia z Wydziału Zdrowia. Rozumiem, że ona też weźmie w tym udział.

Justin westchnął.

- Coś jeszcze?

- W tej chwili nie - odparł radośnie Jared. - Jak coś mi wpadnie do głowy, dam ci znać. Na razie.

Justin pomaszerował do samochodu w kiepskim nastroju. Co prawda sprawa była ważna, biorąc pod uwagę liczbę osób w okręgu, u których test na obecność wirusa zachodniego nilu wypadł pozytywnie. Mimo to wolałby spędzić popołudnie z Marissą, urządzając dom. Nie wspominając już o tym, że musi ją zniechęcić do Pendletona.

A jeśli ten wywiad mu w tym pomoże? Porównanie danych z Virginią może mu dać do ręki broń, której tak potrzebuje. Miał już w głowie pytania, które sam by zadał, i przed siedemnastą zamierzał poznać wszystkie odpowiedzi.

- Chciałabym zobaczyć się z Travisem Pendletonem - rzekła Marissa do sekretarki tuż po wpół do siódmej wieczorem. Wracając do domu, postanowiła wpaść do Trávisa, żeby go przywitać po krótkiej nieobecności. Co prawda codziennie dzwonili do siebie, ale była niecierpliwa jak nastolatka.

- Rozmawia przez telefon, proszę usiąść i zaczekać.

- Dwudziestoparoletnia blondynka w granatowym kostiumie spojrzała na nią z zaciekawieniem - Zaraz pewnie skończy.

- Dziękuję.

Po chwili siedzenia pod drzwiami Trávisa naszły ją wątpliwości. Sekretarka pozwoliła jej wejść do gabinetu, ale jakoś odeszła ją ochota. Nie chciała przerywać Trávisowi, wolała poczekać i popatrzeć.

Spędzał w gabinecie całe dni, a nigdy nie było tego po nim widać. Nawet gdy zdejmował marynarkę, krawat miał wciąż na miejscu, a na białej koszuli nie było nawet jednego zagniecenia. Chłodny, spokojny i opanowany.

Zaczesała za uszy niesforne kosmyki, żałując, że nie wpadła do domu przypudrować nos. Jej dres, co prawda z niemnącego poliestru, przez cały dzień leżał zwinięty w szafce. Może powinna była włożyć swoje najlepsze czarne spodnie i jedwabną bluzkę?

Kiedy się zastanawiała, czy nie wymknąć się po cichu, Travis zobaczył ją i gestem zaprosił do środka.

- Usiądź - szepnął, zasłaniając słuchawkę. - Już kończę.

Opadła na fotel, ucieszona, że nie miał jej za złe tej wizyty. Nie chciała słuchać jego rozmowy, więc w myśli porównywała próbki kuchennych tapet, które podobały się Justinowi, i usiłowała się zdecydować, która najlepiej pasuje do jego domu. Po chwili nieświadomie zaczęła porównywać Justina do stojącego przed nią mężczyzny.

O tej porze Justin wyglądałby fatalnie. Miałyby podwinięte rękawy i sprawiałyby wrażenie człowieka po wielu godzinach fizycznej pracy. A ponieważ nie lubił krawatów, po prostu by go nie miał. Dla niektórych z jego kolegów krawat był częścią stroju lekarza, ale nie dla Justina. Nawet w pracy wybierał wygodę, nie elegancję.

Jestem niesprawiedliwa, zganiła się w myśli. Travis też ciężko pracuje, choć być może jego praca nie jest tak odpowiedzialna jak praca lekarza. I wcale nie jest niedojdą. Codziennie wieczorem chodzi na siłownię, a w weekendy grywa w koszykówkę.

Czy Travis pomógłby jej wypielić ogród Lucy? Wykąpać Toby'ego? Znała go krótko, ale zgadywała, że do

chwastów wezwałby profesjonalistę. Jeśli zaś chodzi o Toby'ego, umówiłby go na wizytę u psiego fryzjera.

Czy spytałby ją o opinię na temat urządzenia domu? Sądząc z jego charakteru, stylu życia i aspiracji, zatrudniłby architekta wewnątrz, nawet nie próbując swoich sił. Ale i w tym nie ma niczego złego. Na jego stanowisku wizerunek jest niezwykle ważny.

A wizerunek Justina nie jest ważny? Oczywiście, jest. Ale Justin wiedział, że urządzenie domu sprawia jej przyjemność. Z Trayisem nigdy o tym nie rozmawiała, lecz to nie powód, by odejmować mu punkty.

Jakie punkty? Ci dwaj mężczyźni są jak ogień i woda, a nawet gdyby się nie różnili, jej szanse na wspólną przyszłość z Travisem są o wiele większe i bardziej obiecujące.

Głos Trávisa przerwał jej rozważania.

- Zmniejszyliśmy wydatki na utrzymanie miasta - mówił. - Środki chemiczne na chwasty i szkodniki, których używamy, to standardowe produkty. Tak, niepokoi nas problem komarów. Nasza ekipa została skierowana do miejsc, gdzie występuje problem z osuszeniem... - Urwał. - Na razie nie planujemy spryskiwania. Hope to dość duże miasto, nie możemy spryskać każdego centymetra kwadratowego ziemi. Zresztą miasta, gdzie spryskiwanie stosuje się na masową skalę, też mają problem z wirusem Zachodniego Nilu. Współczuję chorym i życzę im szybkiego powrotu do zdrowia.

Travis rozłączył się i uśmiechnął do Marissy.

- No, no, co za niespodzianka. Co cię tu sprowadza? Marissa nie mogła się skupić.

- Ja... jechałam do domu i pomyślałam, że wpadnę i spytam, jak się udał wyjazd.

- Dobrze. Nawiązałem sporo ważnych kontaktów, mam wiele nowych pomysłów, które zechcę tutaj zastosować. Jeżeli szczęście mi dopisze, wszyscy usłyszą o Hope.

- Postęp to dobra rzecz - oświadczyła. Nie miała nic przeciwko jego ambicjom, ale nie chciałyby poświęcać tego, co stanowiło istotę Hope, na ołtarzu rozwoju miasta.

Nagle jego motywy wzbudziły w niej podejrzenia. Wydawał się bardziej zainteresowany tworzeniem swojego wizerunku niż zadowoleniem mieszkańców Hope.

- Hope nie jest anonimowym miastem - powiedziała.

- Może jest małe, ale wciąż się rozrasta.

- Dość powoli - odparł. - Ale ma spory potencjał. Musimy wykorzystać nasze mocne punkty, żeby ściągnąć więcej ludzi. Na przykład mamy jedno z najpiękniejszych jezior, a nasze placówki medyczne są pierwszorzędne.

- A skoro mowa o służbie zdrowia - wtrąciła Marissa - niechący usłyszałam twoją rozmowę na temat komarów.

- Ten dziennikarz uważa, że miasto jest odpowiedzialne za przypadki wirusa zachodniego nilu - rzekł cierpko.

Temat był bliski jej sercu z powodu Lucy.

- Dlaczego tak myślisz?

- Nasze cięcia budżetowe nie są tajemnicą. Niestety, niektóre nie są też popularne. Na przykład ograniczenie środków na opryski przeciwko komarom.

- Żartujesz, prawda? Skreśliłeś ten program?

- To nie takie straszne, jak się wydaje. Stosujemy bardziej efektywny środek. Spryskujemy tylko te części

miasta, gdzie jest stojąca woda, więc zmniejszyliśmy zużycie o dwie trzecie. Przy obecnych cenach nie stać nas na pryskanie całego miasta.

- Ale dotąd tak robiliśmy. - Pamiętała komunikaty w gazecie, nakazujące ludziom zamykanie okien na noc, kiedy wykonywano spryskiwanie.

- Od pięciu lat miasto przekracza budżet. Zatrudniono mnie po to, żebym doprowadził go do porządku.

- A co z tymi, którzy korzystają z parków? Z dziećmi, które grają w tenisa i bejsbol? Nie mówiąc już o właścicielach ogrodów?

- Ludzie muszą sami się o siebie troszczyć. Nie moja wina, że nie używają środków na komary ani nie ubierają się odpowiednio.

- Jest lato - zauważyła. - Nie włożysz dziecku długich spodni czy bluzki z długim rękawem.

- Są dostępne środki do spryskiwania trawników, gadzety odstrasżające komary. Ludzie powinni sobie kupić to, czego potrzebują, zamiast oczekiwać, że miasto poniesie wszystkie koszty.

- To dosyć nieludzkie podejście, nie uważasz? - spytała zirytowana.

Travis przysiadł na skraju biurka.

- Chyba nie jesteś zwolenniczką centralnego zarządzania?

- Tu nie chodzi o zarządzanie. Tu chodzi o zdrowie i jakość życia. Moja sąsiadka złapała wirusa pomimo wszelkich środków ostrożności. Ludzie robią, co do nich należy, żeby zminimalizować ryzyko, ale miasto też powinno mieć w tym swój udział.

- Współczuję jej, lecz przeglądając nasze wydatki, musiałem coś skreślić. Przykro mi.

- Nie możesz obciąć innych wydatków?
- Doceniam twoją troskę, ale czy ja ci mówię, jak masz pracować?

- Nie - odparła z namysłem.
- Więc nie mów mi, co mam robić.

Słyszając naganę w jego głosie, Marissa wstała. Kiedy ta niewinna wizyta zamieniła się w ostrą dyskusję?

- Rozumiem twoje racje, ale nie będę przepraszać, że chcę chronić ludzkie zdrowie.

Odwróciła się do drzwi, a on chwycił ją za rękę.

- Wcale tego nie oczekuję - rzekł. - Twoje podejście jest godne podziwu.

Ten komplement powinien sprawić jej przyjemność, ale wcale tak nie było.

- W takim razie, proszę, przyjrzyj się temu jeszcze raz. Może znajdziesz jakieś wyjście - naciskała.

Travis milczał przez kilka sekund.

- Nie spoczniesz, póki nie każę spryskać parków.

Jego oferta była pewnym kompromisem.

- Na początek - odparła.

- Więcej nie mogę.

Chociaż nie padło: „To moje ostatnie słowo”, było to oczywiste.

- Dziękuję. - Uśmiechnęła się. - Wiele osób doceni twoją decyzję.

- To dobrze. A skoro już rozwiązaliśmy problem, chciałbym wrócić do pracy.

- Oczywiście. Nie będę ci przeszkadzać. - Zatrzymała się przed drzwiami, by raz jeszcze załagodzić sytuację.

- Cieszę się, że wróciłeś, Travis.

- Dzięki - odparł. - Ja też się cieszę.

Marissa szła przez opustoszałe korytarze, zadowolono-

na, że ostatecznie się pogodzili. A jednak gdzieś w głębi duszy coś ją niepokoiło. Cele Trávisa, plan jego kariery i nienaganne maniery robiły na niej wrażenie. Tak ją zaślepiły, że nie zauważyła, iż nie dbał o ludzi, którym miał służyć. Nie wyobrażała sobie, by Justin chciał zaoszczędzić kilka dolarów kosztem pacjentów.

Nie rób niesprawiedliwych porównań, powiedziała sobie. W końcu nie ma pojęcia o budżecie miasta. Pewnie jest sporo innych programów, równie ważnych, którym grożą cięcia. Ale czy i tam chodzi o zdrowie?

Trudno powiedzieć, i nie do niej należy decyzja. Poza tym w każdym związku występują różnice zdań. To nie znaczy, że ona i Travis nie są sobie przeznaczeni. Zresztą wysłuchał jej argumentów i przystał na kompromis. Czego więcej można oczekiwać?

Odłożywszy na bok wątpliwości, uświadomiła sobie, że nie potwierdziła jutrzejszej kolacji. Po co ma dzwonić do niego później, skoro jest jeszcze w budynku ratusza? Szybko zawróciła do biura Trávisa.

Przez kilka dni jadał w mieście. Pewnie chętnie dla odmiany zje domowe steki, pieczone ziemniaki, sałatę i sernik z czekoladą na deser. Zadowolona z pomysłu, zajrzała do gabinetu. Na widok dwóch osób słowa uwięzły jej w gardle.

Nie chodziło nawet o samą obecność sekretarki Trávisa, bo miała prawo tam być. Tyle że sekretarka znajdowała się w jego objęciach. Jej obcisła spódnica odsłaniała nogi, a rozpięta bluzka koronkowy czarny biustonosz.

A Travis - ten drań - całował ją z taką energią, że wystarczyłoby na oświetlenie głównej ulicy w Boże Narodzenie.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Marissa zamarła, tak oszołomiona, że tylko gapiła się na tych dwoje. To chyba sen. Travis był zbyt uprzejmy, zbyt szczerzy, zbyt dobrze wychowany, by zrobić jej coś takiego. Musiała wydać jakiś dźwięk, bo ci dwoje odezwali się od siebie i popatrzyli na nią ze zdumieniem i zażenowaniem. W ciągu kilku sekund młoda kobieta opanowała się na tyle, by zapiąć bluzkę, podczas gdy Travis poprawiał krawat z głupią miną.

- Marissa... Myślałem, że już wyszłaś.

- Wróciłam, żeby potwierdzić jutrzejszą kolację, ale w tych okolicznościach to nieaktualne. - Co za ironia, że uważała ich związek za poważny!

Czuła, że rośnie w niej złość, ale nie zamierzała wybuchnąć. Duma kazała jej zlekceważyć to, co zobaczyła. Gdyby Travis domyślił się, jak mocno się zaangażowała, wyśmiałby jej naiwność.

Podeszła i wyciągnęła rękę.

- Nie byliśmy sobie przedstawione. Marissa Benson. Travis wtrącił natychmiast:

- To Tanya Hathaway, moja sekretarka.

- Asystentka-poprawiła Tanya, lekko ściskając dłoń Marissy. - Miło mi.

- Pracujemy do późna - podjął Travis.

- Widzę - rzekła Marissa. Czy on myśli, że jest kompletnie ślepa? - Na pewno nad budżetem. Widzę, jak

bardzo jesteście zajęci, a skoro moja sprawa jest już nieaktualna, to się pożegnaj.

Tym razem trafiła do wyjścia w rekordowym tempie, ale zanim otworzyła drzwi, Travis złapał ją za rękę.

- Wyjaśnię ci - zaczął.

- Jasne - wycedziła. Chciała uciec, nim zrobi coś głupiego, na przykład się rozpłacz.

Oczywiście po tym, jak wymierzy mu celny cios torebką.

- Tanya i ja wciąż się schodzimy i rozchodzimy - podjął. - Sądziłem, że zbyt wiele nas dzieli, więc...

- Z tego, co widziałam w twoim gabinecie, wynika... że się nie mylisz. Kiedy znowu się zeszliście?

- Wczoraj. Dość niespodziewanie - przyznał.

Postanowiła znieść to z godnością. Travis nigdy nie dowie się, jak bardzo poniosła ją wyobraźnia. Dzięki Bogu wiedzą o tym tylko dwie osoby - Kristi i Justin. A gdyby nie zachował się tak ekstrawagancko z tymi kwiatami, wiedziałyby tylko Kristi.

- Jak cię poznałem, myślałem, że jestem gotowy na nowy związek. Ale... - Wzruszył ramionami.

- Nie jesteś. Rozumiem. - Nie rozumiała. - Ale wolałabym, żebyś mnie uprzedził.

I znowu nawet się nie bronił.

Ścisnęła kluczyki z całej siły i wzięła głęboki oddech. Nie ma sensu zrzucać na niego winy ani wałkować sprawy. Ich związek zakończył się, zanim się rozwinął.

- Życzę wam wszystkiego dobrego.

- Dziękuję. Przepraszam za to nieporozumienie.

- Mam tylko jedno pytanie. Po co te kwiaty? Asekurowałaś się czy chciałaś wzbudzić zazdrość w Tanyi?

Travis otworzył usta, a potem je zamknął.

To mówiło samo za siebie.

- Nie odpowiadaj. - Uśmiechnęła się siłą woli. - Woleję trzymać się swojej wersji.

- Przepraszam, Marissa.

Udusi go jego własnym krawatem, jeśli jeszcze raz ją przeprosi. Czy mu się zdaje, że to słowo leczy rany?

- Gdyby Tanyi tutaj nie było...

Szarpnęła za kłamkę i pognała do samochodu. Oczywiście ją piekły, z trudem powstrzymywała łzy.

To nie koniec świata, mówiła sobie.

Tylko dlaczego tak właśnie się czuje?

Cały wieczór Justin usiłował dodzwonić się do Marissy. Po wywiadzie z Rickiem Millerem musiał się zająć ofiarami wypadku na autostradzie. Personel oddziału ratunkowego był nieliczny, więc Justin im pomagał, a to znaczyło, że nie mógł pomóc Marissie w położeniu drugiej warstwy farby.

Nagrał wiadomość na jej sekretarce z prośbą, by odzwoń. Do dziewiątej wieczorem, kiedy opanowali sytuację w szpitalu, nadal się nie odezwała. Postanowił wpaść do niej i umówić się na inny termin.

Jej dom był pogrążony w ciemności, więc zajrzał do miejsc, gdzie zwykle można ją było znaleźć. Nikt, nawet Kristi, nie widział Marissy.

- Masz większy problem - oświadczyła Kristi. - Pięć minut temu dowiedziałam się, że nasz wzorowy administrator ma kochankę na boku.

- Co?

Przytaknęła skinieniem głowy.

- Jakaś asystentka z jego biura.

- Skończony... - Justin urwał, przeczesując włosy.

- Tak. No cóż, wyraziłam się dosadniej. Pytanie, czy Mari wie, a jeśli nie, jak jej powiemy?

Justin pokręcił głową. Ta wiadomość ją załamie. A jeżeli to on przekaże jej nowiny, może pożegnać się z życiem.

- Najpierw muszę ją znaleźć.

W końcu Marissa wróci przecież do domu. Z tą myślą znów pojechał do niej. Niestety, jej dom wyglądał tak jak przed półgodziną. Nikt nie otworzył mu drzwi ani nie zapalił światła. Justin się zaniepokoił, ale zanim poprosi policję o pomoc, zostawi jej kolejną wiadomość na sekretarce.

Zawracając do samochodu, usłyszał stłumione szczekanie i drapanie w drzwi. Kiedy Marissa wychodziła, Toby'emu nie wolno było biegać luzem, a jednak najwyraźniej biegał. Co znaczy, że Marissa jest w domu.

Ogarnęło go złe przeczucie. Coś się stało. Nie zastanawiając się ani chwili, odszukał klucz Marissy, który dostał od niej na wszelki wypadek. Ma prawo go teraz użyć.

Toby powitał go radośnie.

- Co jest, kolego? - spytał Justin, drapiąc psa za uchem. - Gdzie Marissa?

Pies przekrzywił łeb, patrząc znacząco, jakby prosił, by Justin poszedł za nim do salonu.

Justin ruszył za psem. Poza stukaniem pazurów o drewnianą podłogę panowała tam kompletna cisza.

- Oszczędzasz prąd, Mari? - zażartował, mijając kuchnię i zapalając światło. - Pożyczę ci forszę, jak nie masz na rachunki w tym miesiącu.

Znalazł ją w ciemnym pokoju, gdzie cicho grał telewizor.

- Tutaj jesteś - powiedział, sięgając do włącznika.

Pewnie się tego spodziewała, bo rzuciła ochryplym głosem:

- Zostaw.

Nie martwił się już, że coś jej się stało, a jednak coś było nie tak. Podszedł do kanapy, na której Marissa siedziała z psem na kolanach. W świetle ekranu telewizora dostrzegł jej czerwony nos i cienie pod oczami. Miała mokre włosy i była ubrana w T-shirt z napisem: „Faceci to dranie”.

Obok niej leżało pudełko z chusteczkami. Na stoliku rosła góra zużytych chusteczek, stała butelka chardonnay, kieliszek i miska z pop-cornem.

- Topisz smutki czy świętujesz? - spytał.

- Jeszcze nie wiem.

- Aha. Mogę się przysiąc?

- Nie mam ochoty na towarzystwo.

- To dobrze, bo ja nie zaliczam się do tej kategorii.

- Domyślał się, że Marissa nie odsłoni przed nim swojej duszy, więc zaczął zgadywać.

- Chodzi o Lucy? Zdrowieje powoli, ale radzi sobie.

- Wiem.

Spróbował z innej strony.

- Skurcze Abby minęły. Jennings zatrzymał ją na obserwacji.

Skinęła głową.

- Byłam u niej przed wyjściem z pracy.

Wyliminował już dwie możliwości, więc spojrzał na butelkę.

- Chyba nie wypićś wszystkiego?

- Jeden kieliszek to mój limit.

To było pocieszające. A jednak wiedział, że Marissa

pije alkohol tylko przy specjalnych okazjach. Może nie miał najlepszej intuicji, ale to nie jest wieczór radosnego świętowania. Z jakiegoś powodu dziś wieczorem Marissa złamała swoje zasady. Skoro Toby jest cały i zdrowy, a stan Lucy i Abby stabilny, nie miała powodów, by sięgać po kieliszek. Poza Pendletonem.

Czy już wie, że to dwulicowy łajdak?

Chciał poruszyć ten tematy ale postanowił poczekać, aż Marissa się otworzy. Nie należał jednak do ludzi cierpliwych.

Jeżeli chodzi o Pendletona... weźmie sprawy w swoje ręce. Ten drań pożałuje, że ją oszukał.

- Jadłaś coś? - zapytał.
- Popcorn. Chcesz trochę?

Wyobraził sobie, jak podziałałby na nią kieliszek wina wypity na pusty żołądek.

- Wolałbym pizzę. A ty?
- Nie jestem głodna. - Oparła głowę o kanapę i zamknęła oczy.
- A ja jestem. - Nie dając jej szansy, by zaprotestowała, wyjął komórkę i zamówił pizzę.
- Będzie za dwadzieścia minut - oznajmił.
- Mogłeś ją odebrać w drodze do domu.
- Nie znoszę jeść sam.

Marissa nie paliła się do rozmowy, więc zmienił taktykę.

- Powiesz mi, co się dzieje? Czy mam to z ciebie wyciągnąć?
- Nic.
- Aha. Po prostu lubisz siedzieć po ciemku.
- To mój dom. Mogę robić, co chcę.
- Normalnie tego nie robisz.

- To nie ty rozpoczynasz nowy rozdział w życiu.
- Aha. - Zamilkł i przez kilka minut oglądał powtórkę „Lucy Show”, ulubionego programu Marissy w chwilach depresji.

Był coraz bardziej przekonany, że to Pendleton jest powodem jej złego nastroju. Przysiągł sobie, że nie ujdzie mu to na sucho.

Marissa głaskała psa. Wysłuchał jej smutnej historii, współczuł jej i powstrzymał się od ocen. Pies to naprawdę najlepszy przyjaciel kobiety.

Gdyby tylko mogła pozbyć się Justina, zostaliby z Tobym sami. Ale ponieważ zamówił pizzę, to tak szybko nie wyjdzie. Jakie to typowe dla mężczyzny widzieć w jedzeniu rozwiązanie wszystkich problemów.

- Masz jakąś sprawę? Chcę się wcześniej położyć.
- Martwiłem się, bo nie odbierałaś telefonu. Odsłuchiwałaś moje wiadomości?

Podrapała psa po grzbiecie.

- Nie. Czy to coś ważnego?
- Musiałem odwołać dzisiejsze malowanie.

Zupełnie zapomniała o malowaniu, ale brakowało jej sił, by go przeprosić. Jej świat legł w gruzach, więc miała prawo zapomnieć.

- Można to zrobić jutro.
- Myślałem, że macie z Trevorem jakieś plany.

Tym razem nawet go nie poprawiła.

- Już nie.
- Znowu jest zajęty w pracy?

Roześmiała się z goryczą. I pomyśleć, że tak podziwiała Trávisa za jego oddanie pracy. Teraz mogła tylko zadać sobie pytanie, ile z tych długich wieczorów w ratu-

szu faktycznie przepracował. Wszystko, co mówił, wydało się teraz podejrzane, zwłaszcza że nie wspomniał ani słowem o Tanyi, dopóki ich nie przyłapała.

- Można tak powiedzieć - odparła.

Wolałaby opowiedzieć mu tę historię, kiedy już się z nią pogodzi, ale Justin nie da się zbyć byle czym. Milczeniem tylko opóźni to, co nieuniknione.

- Dobra, powiem ci w skrócie - mruknęła. - Travis ma kogoś.

- Och.

- To jego sekretarka.

- Rozumiem.

- A w zasadzie asystentka.

- Od kiedy?

- Zanim mnie poznał. Zerwali, ale znowu są razem.

Przysunął się i otoczył ją ramieniem.

- Tak mi przykro.

- Nic mi nie jest. - To dyskusyjne, ale on nie musi o tym wiedzieć. Nagle uświadomiła sobie, że Justin wcale się nie zdziwił. Przyjrzała mu się bacznie.

- Nie jesteś zaskoczony. Wiedziałeś?

- Słyszałem plotki - zaczął.

- Kiedy?

- Szukałem cię u Kristi. Powiedziała mi o Travisie.

Marissa się przeraziła.

- Ona też wie?

- Obawiam się, że tak.

- O rety, do jutra umówi mnie na randkę w ciemno ze wszystkimi swoimi kuzynami po kolei.

- Podobno okres żałoby po niewiernym facecie trwa trzy dni. Kristi tyle poczeka.

Marissa się uśmiechnęła.

- Nie licz na to.

- Mogę coś dla ciebie zrobić? Nasączyć jego pączki środkiem przeczyszczającym? Posmarować jego fotel supermocnym klejem?

Marissa wyobraziła sobie Justina, który zakrada się do gabinetu Trávisa w kominiarce na głowie.

- Tylko go całkiem nie niszc, proszę.

- Sam świetnie to robi. Gdy ludzie przeczytają jutrzejszą gazetę, cały dzień będzie odbierał telefony od zirytowanych mieszkańców.

- Bo skreślił program ochrony przed komarami?

- Tak, powiedziałem o tym w wywiadzie. A ty skąd wiesz?

- Byłam w biurze Trávisa, kiedy dzwonił Miller. Wciąż nie wierzę, że poświęciłby ludzkie życie dla pieniędzy. Kiedy pomyślę, że Lucy i wiele innych osób mogło nie zachorować, gdyby całe miasto zostało spryskane, naprawdę bierze mnie złość.

- Nie tylko ciebie - stwierdził. - Ten facet ma inne priorytety.

- Musi je zmienić.

- Pendleton nie jest mężczyzną dla ciebie, Mari.

- Widać nie - rzekła. - Ale jak powiesz: a nie mówiłem...

- Nic nie powiem. Myślałem, że go rzucisz, jak się przekonasz, że nie lubią się z Tobym.

- Powinnam była, ale naprawdę wierzyłam, że Travis przekona się do Toby'ego.

- Może gdyby dać mu czas, chociaż psy świetnie znają się na ludziach. Nikt im nie zamydli oczu.

Marissa pogłaskała teriera po brzuchu, a on wyciągnął się z lubością.

- Mówisz tak, bo ciebie lubi.

- Oczywiście. Zresztą spójrz na to w ten sposób. Dziewczyna Pendletona oszczędziła ci mnóstwo trosk.

Może na dłuższą metę, bo w tej chwili to bardzo boli, pomyślała Marissa.

- A wiesz, co jest najgorsze? Czuję się jak idiotka. Widziałam jakieś znaki, ale je ignorowałam.

- Czasami widzimy to, co chcemy widzieć.

Cóż za straszna myśl. Czy kiedykolwiek zaufa jeszcze swojemu instynktowi? Ciagle źle wybiera mężczyzn.

- Przeraza mnie - oznajmiła powoli - że jestem bardziej podobna do matki, niż sądziłam.

- Czemu tak mówisz?

- Zawsze zakochiwała się w pierwszym lepszym faciecie, który się nią interesował. Nic dziwnego, że cztery razy wychodziła za mąż, a teraz pracuje nad numerem piątym.

- Nie jesteś swoją matką - rzekł stanowczo.

Marissa ciągnęła, jakby go w ogóle nie słyszała.

- Nigdy nie rozumiałam, jak ona może tak żyć, a okazuje się, że ja żyję tak samo. Strach przed samotnością zaślepia.

- Nie jesteś sama.

W objęciach Justina czuła się równie dobrze jak pod ciepłym pledem albo przy kominku w zimną noc. Miała wielu przyjaciół, między innymi Justina, ale pragnęła czegoś więcej. Chciała mieć męża i dzieci, hipotekę i minivana.

Niestety, kolejna szansa wyśliznęła jej się z rąk.

Mieszkając z babką i obserwując przyjaciół z dzieciństwa z ich rodzicami i rodzeństwem, zrozumiała, ile traci. Teraz była już zmęczona zmarnowanymi nadziejami. Je-

żełi małżeństwo nie jest jej pisane, spełni choć część swojego marzenia. Będzie trudno, ale da radę.

- Nie zostanę już długo sama. Urodzę dziecko - oświadczyła.

Justin, któremu nigdy nie brakowało słów, tym razem osłupiał.

- Co takiego?

Zanim odpowiedziała, dzwonek do drzwi przerwał ten pełen napięcia moment.

- Pizza - oznajmiła.

Justin rozliczył się z dostarczycielem pizzy, widząc jak przez mgłę. Więc Pendleton śmiał zostawić Mari w takim położeniu? Ten facet to hańba dla ludzkości. Zasluguje na coś gorszego niż pączek ze środkiem przeczyszczającym. Roztrzaskany nos, kilka dobrze wymierzonych ciosów - to byłoby o wiele stosowniejsze.

Rzucił płaskie pudełko na stolik. Stracił apetyt.

- Jesteś w ciąży - rzekł, czekając na potwierdzenie.

- Jeszcze nie.

Po raz drugi zamarł, kompletnie skonfundowany.

- Powiedziałaś, że jesteś.

- Powiedziałam, że zamierzam mieć dziecko. Ale nie jestem w ciąży.

Justin uniósł ręce.

- Moment. Pogubiłem się.

- To proste. Powinnam była wcześniej o tym pomyśleć. Nie mam szczęścia do mężczyzn, więc postanowiłam przejść od razu do macierzyństwa. Wkrótce skończę trzydzistkę. Zegar biologiczny tyka.

- Jak chcesz zajść w ciążę bez udziału mężczyzny?

- Jeszcze nie wymyśliłam szczegółów, ale łatwo jest znaleźć dawcę.

Ona chce znaleźć dawcę. Boże, pragnął, by wybrała jego. A najchętniej zrobiłby to w tradycyjny sposób.

- Myślisz o kimś? - spytał z nadzieją w głosie.

Marissa milczała przez chwilę.

- W sumie nie.

Wyobraził sobie, jak Marissa robi przegląd potencjalnych kandydatów. To było nie do zniesienia.

- W życiu nic głupszego nie słyszałem.

- Nieprawda - broniła się.

- Prawda. - Wyłączył telewizor i wstał i zaczął krążyć po pokoju. - Chciałem, żebyś zerwała z Pendletonem.

Wyprostowała się zdumiona.

- Czemu? Nie chcesz, żebym była szczęśliwa?

- Ależ chcę. Byłem zazdrosny. Nie chcę, żebyś była szczęśliwa akurat z nim. Chcę, żebyś była szczęśliwa ze mną.

- Jestem z tobą szczęśliwa, Justin. Nadal będziemy przyjaciółmi...

- Cholera, Mari - wybuchnął. - Nie rozumiesz? Nie chcę być tylko przyjacielem. Chcę więcej.

Marissa szeroko otworzyła usta.

- Więcej?

- Więcej - potwierdził. - Wysłuchałem wszystkich powodów, dla których twoim zdaniem nie pasujemy do siebie. Uważam, że nie masz racji. Nie dałaś nam szansy, a dopóki jej nie dasz, nie będę stał z boku i patrzył, jak inny facet zostanie twoim dawcą spermy.

Na długą chwilę zapadła cisza. Nawet Toby wyczuł, że atmosfera się zmieniła, bo usiadł i nastawił uszu.

- Marissa - zaczął znów Justin, ale ona nie dała mu dokończyć. Rozpłakała się na dobre.

Nie takiej reakcji oczekiwał. Zdziwienie, potem lekki

uśmiech, błysk w oczach - na to liczył. Musiał jednak przyznać, że wybrał kiepski moment. Najpierw powinien wypić z nią wino i zjeść kolację.

Teraz siedziała zdenerwowana, a Justin nie wiedział dlaczego. Na widok kobiecych łez mężczyzna zawsze czuje się zagubiony. Na dodatek Toby patrzył na niego z wyrzutem. Zepsułeś, to teraz napraw, zdawał się mówić.

Zrezygnowany Justin przykucnął obok Marissy.

- Kochanie, nie musisz płakać.

- Wiem. - Pociągnęła nosem i sięgnęła po chusteczkę. - Tyle lat czekałam, żebyś zobaczył we mnie kobietę, a nie tylko dziewczynę z sąsiedztwa.

- Naprawdę? - Uśmiechnął się pewny sukcesu.

Kiwnęła głową, ocierając oczy.

- No.

Pogłaskał ją po policzku.

- Wybacz, uczę się powoli.

- To nic. - Odchrząknęła. - To nieważne.

- Masz rację, zaczniemy wszystko od nowa.

Położyła rękę na jego ramieniu.

- Niczego nie zaczniemy, Justin.

- Chwileczkę. Co ty pleciesz?

- Jesteśmy przyjaciółmi. Doceniam to, co powiedziałeś, ale nigdy nam się nie uda.

ROZDZIAŁ ÓSMY

- Jak możesz tak mówić? - spytał.
- Bo tak jest.
- Ale powiedziałaś...
- Wiem, co powiedziałam. Miałam nadzieję, że będę dla ciebie kimś więcej niż przyjaciółką z college'u, ale nie zaiskrzyło. Pogodziłam się z tym i żyłam dalej. Zresztą ty też ułożyłeś sobie życie.
- To już przeszłość. Teraz iskrzy jak cholera. Jej twarz pojaśniała na wspomnienie pocałunku.
- Przyznaję, było trochę gasnącego żaru...
- Gasnącego żaru?! To był pożar.
- Przyjaciele nigdy nie tworzą dobrych związków. Spójrz tylko na Rachel i Rossa.
- Na Boga, Rachel i Ross to postaci z telewizji. Rzeczywistość to nie sitcom.
- A w rzeczywistości ile par pozostaje w dobrych układach, kiedy się rozejdą? - spytała. - Przyjaźnisz się z byłą żoną?
- Dlaczego sądzisz, że twoje małżeństwo będzie trwalsze, jak poślubisz kogoś nowo poznanego, a nie starego przyjaciela?
- Nie mam gwarancji, ale gdybyśmy się rozwiedli, straciłabym jednocześnie przyjaciela i męża - rzekła cicho. - Za duże ryzyko. Wolę mieć twoją przyjaźń niż nic. Dawno temu podjęłam tę decyzję i nie zmienię zdania.

- Zadowala cię byle co.
- Jestem ostrożna. Pytanie, dlaczego nagle ci zależy? Travis to nie pierwszy mężczyzna, z którym się spotykam.
- Nie byłem gotowy.
- A teraz jesteś.
- Tak.
- Wybacz, to mnie nie przekonuje.
- Remontuję dom - rzekł. - Staram się stworzyć przytulne gniazdko. Zawsze mnie oskarżałaś, że unikam zobowiązań. Więc udowadniam ci, że nie unikam.
- Malowanie, zasłony i kilka mebli nie oznaczają zobowiązania.
- Nie robię nic, czego nie chciałbym robić.
- Moje argumenty cię przekonały.
- Może, ale niezależnie od tego nie mam ochoty wracać do przeszłości. Pora na zmianę.
- Więc chcesz zmiany. Ale dlaczego ja? - Patrzyła na niego z uwagą.
- A dlaczego nie? Znamy się od lat.
- Wzięłaś sobie do serca słowa Lucy?
- Nie, ale ona ma rację. Znamy się lepiej niż wiele małżeństw. Dlaczego nie zrobić następnego kroku? Chyba że się boisz.
- A ty się nade mną litujesz.
- Lituję się? - prychnął. - Na pewno nie czuję litości, raczej irytację. - Podeszedł i pochylił się nad nią.
- Prawdę mówiąc, zaniósłbym cię teraz do sypialni i całował aż do utraty tchu. Nie ma tu miejsca na litość.
- Tak, ale...
- Przestań szukać wymówek - rzucił ostro. - To tylko wymówki.

- Nieprawda - upierała się.
- Wierz mi, że tak.

Marissa wstała gwałtownie, odsuwając Toby'ego.

- No widzisz? Od kilku minut rozmawiamy o bliższym związku, a już tracisz cierpliwość.

- Bo jesteś potwornie uparta.
- A ty nie znosisz sprzeciwu.

Na moment zapadła cisza. Potem Marissa, zła, że rozmowa przybrała taki obrót, przeprosiła Justina.

Skinął głową z zaciętą miną, lecz kiedy się odezwał, mówił spokojnie.

- Wiem, kiedy mam rację, a kiedy nie mam. Go do nas się nie myślę.

- Och, Justin - zaczęła żałośnie. - Tak bym chciała, żebyś mnie zrozumiał.

- Przyznaję, że fatalnie wybrałem moment, ale nigdy nie uważałem, że łatwo się poddajesz. A ty się poddajesz, zanim gra się rozpoczęła. To nie fair.

Może i nie fair, krzyczała w duchu, ale nieskończenie bezpieczniej. Powrót do dawnych zwalczonych już tęsknot byłby czystą głupotą. O wiele trudniej byłoby z nimi zerwać po raz drugi.

Justin ujął jej dłonie.

- Proszę tylko, żebyś to przemyślała. Potem, kiedy umówię się z tobą oficjalnie na randkę, odpowiesz mi.

Marissa westchnęła.

- Nie możesz po prostu przyjąć...

- Nie.

- Chyba chcesz, żebyśmy oboje cierpieli.

- Nieprawda. Jeśli nam nie wyjdzie, zachowamy się jak dwoje dorosłych ludzi. - Zawahał się. - Bądź uczciwa. Chciałabyś się przekonać, czy nam wyjdzie.

Była gotowa zaprzeczyć. Niestety, nie mogła, gdyż pragnęła tego co on. Chyba jest masochistką, pomyślała.

Uległa zatem, lecz postawiła swoje warunki.

- Nie będziesz mnie nękał w międzyczasie?

- Nie - obiecał. - Tylko nie myśl o tym, co mogłoby albo nie mogłoby się zdarzyć. Skup się na dniu dzisiejszym.

Czy ona tak potrafi? Czy będzie w stanie cieszyć się chwilą i nie martwić jutrem? Ale jaką ma alternatywę? Kolejne ileś tam lat sam na sam z Tobym? Randki w ciemno z niezliczonymi krewnymi Kristi i przyglądanie się, jak Justin w końcu zakochuje się w innej kobiecie?

Tylko czy on szczerze jej pragnie? Czy nie proponuje jej tego, by uciec przed samotnością?

Mogła się tego dowiedzieć tylko w jeden sposób, czekając na jakiś znak.

- Spróbuję - odparła w końcu.

- I nie ma mowy o żadnych dawcach spermy.

- Czas płynie.

- Mówię serio, Mari.

- Okej - mruknęła. - Ale jeśli nic nie wyjdzie...

Patrzył na nią w skupieniu.

- Wyjdzie, Mari. Wyjdzie. Założę się.

Gdyby ona była równie pewna...

- Cieszę się, że już piątek - oświadczyła radośnie Kristi, siadając przed komputerem. - Co za tydzień!

Marissa podniosła wzrok znad monitora pokazującego pracę serca nowego pacjenta. Carter Mosby ma trzydzieści dwa lata i został przyjęty na oddział z objawami zapalenia wsierdza.

- To prawda - powiedziała.
- Skończyliście remont w domu Justina?
- Dzisiaj przywożą meble - odparła Marissa. - Proszę, żebym wpadła i pomogła je ustawić, i to będzie onieć.

- Meble? Musisz być bardzo przekonująca.
- Szczerze mówiąc, to był jego pomysł. - Kompletnie osłupiała, gdy spytał, czy pomogłaby mu urządzić sypialnię i sypialnię. Z początku pomyślała, że Justin wykolyta okazję i poprosi ją o randkę, ale on o nic nie prosił.

Minęły cztery dni, a on nie naciskał. Nie wiedziała, o tym sądzić. Powinna się cieszyć. W końcu nie decydowała jeszcze, co mu odpowie.

Ale kiedy wieczorem siedziała sama z Tobym, zaczęła żałować, że Justin wciąż milczy.

- Co potem zamierzasz? - spytała Kristi.
- Nic. Wystarczy, że muszę kosić trawę u siebie u Lucy.

- Jak ona się miewa?
- Świetnie. Jutro Justin wypisze ją do domu. Będzie musiały chodzić na terapię zajęciową, dopóki nie stanie się bardziej niezależna. Ale i tak nieźle sobie radzi, opiekunka społeczna załatwiła dla niej pielęgniarkę.

- Lucy nie ma w pobliżu rodziny?
- Przez jakiś czas pomieszka u niej siostra.
- To dobrze. Pomimo ograniczeń i tak jest w lepszym stanie niż wiele osób. - Kristi zerknęła na Longo.

Marissa westchnęła.

- Tak.

- Wiesz-zaczęła znów Kristi-ten człowiek umiera naszych oczach.

- Wiem.

- To zabrzmiało bezdusznie, ale jak możemy twierdzić że postępujemy humanitarnie, nie pozwalając zwierzętom tak cierpieć, kiedy wobec ludzi stosujemy inne prawa.

- Musisz to przedyskutować z komisją do spraw etyki. Ja tylko wiem, że cuda się zdarzają.

Kristi wyłączyła komputer i wstała.

- Jeśli jemu ma się przydarzyć cud, niech to będzie szybko. Nie wiem, ile Abby jeszcze zniesie.

Marissa spojrzała przez szybę na skuloną przy łóżki męża Abby.

- Przekonam ją, żeby trochę odpoczęła na kozetce

- Powodzenia. Już jej to proponowałam.

Marissa poszła do pokoju Lonniego.

- Jak się czujesz? - zwróciła się do Abby.

Abby uśmiechnęła się lekko.

- Dobrze. Junior jest dzisiaj spokojny.

- Może położysz się na pół godzinki? Kozetka nie jest najwygodniejsza, ale rozprostujesz nogi.

- Dzięki. Eric przyjedzie po mnie za godzinę. Nie chcę jechać... - pogłaskała bezwładną rękę męża - ale Eric mówi, że muszę myśleć o dziecku. A Lonnie jest pod opieką.

- Ma rację.

- Ale ja tak nie lubię go zostawiać. Wkrótce odejdziesz, chciałabym wykorzystać ten czas...

Najwyraźniej pogodziła się z myślą, że jej mąż jest umierający.

- Obiecuję, że cię zawołam w razie czego.

- Ale z zapaleniem płuc jest lepiej, prawda?

- Tak. - Marissa nie wspomniała, że medycyna wy

grała na tym polu, ale przegrała na innym. Ataki pada-
czki coraz trudniej było opanować.

- Ludzie pytali mnie, czy gdybym wiedziała, że tak
się stanie, coś bym zmieniła - powiedziała Abby.

- Zmieniłabyś?

- Nic. - Pokręciła głową. - Nie, zmieniłabym jedno.
Wcześniej zdecydowalibyśmy się na dziecko. Zawsze
uważaliśmy, że mamy mnóstwo czasu.

- Wszyscy tak myślimy.

Abby skinęła głową.

- Trzeba korzystać z każdej chwili. Codziennie mó-
wić bliskim, że ich kochamy. Niczego nie wolno od-
kładać. - Abby otarła łzy z policzka. - Spójrz na mnie.
Ale jestem dzisiaj radosna, co? Dostyc tego użalania się.
- Na jej twarzy pojawił się zmęczony uśmiech. - Eric
pomógł mi wykończyć pokój dla dziecka. Jesteśmy go-
towi na ten wielki dzień.

Wysłuchawszy opowieści Abby na temat urządzenia
pokoju dziecięcego, Marissa wróciła do Cartera Mos-
by'ego.

- Pora znowu panu poprzekadzać - rzekła pogo-
dnie.

- Już?

- Czas szybko ucieka - stwierdziła, a potem posłu-
chała jego serca. Szmer, który słyszała, odpowiadał diag-
nozie Justina. Zawiesiwszy stetoskop na szyi, uśmiech-
nęła się. - Żadnych wyraźnych zmian. Podać panu coś?
Wodę z lodem albo dodatkowy koc?

- Nie trzeba. - Nagle obrócił głowę na bok, a na
monitorze pojawiła się płaska linia.

Zatrzymanie pracy serca!

Marissa natychmiast nacisnęła przycisk na ścianie,

a potem rozpoczęła reanimację. W ciągu kilku sekund pojawiła się Kristi z defibrylatorem, a chwilę później w pokoju znajdowało się już kilka osób. Kiedy przybiegł Justin, Marissa już dwa razy defibrylowała pacjenta i właśnie przymierzała się do trzeciej próby.

- Co się stało? - spytał Justin bez tchu.

- Rozmawialiśmy i nagle jego serce stanęło. Właśnie miałam go defibrylować po raz trzeci.

Jedno spojrzenie na monitor wystarczyło, by Justin poznał stan pacjenta.

- Zaczynaj.

Marissa ustawiła elektrody.

- Gotowe.

- Żadnej zmiany.

- Trzeba go intubować - polecił Justin. Gdy tylko ktoś się tym zajął, rzucił: - Epinefryna.

- Już podaję - odparła Marissa.

Justin chwycił elektrody.

- Jeszcze raz!

Tym razem monitor pokazał normalny rytm.

- Niech ktoś zadzwoni po helikopter - rzucił Justin. - I proszę sprawdzić, czy mamy wstępny wynik posiewu krwi.

Dwie pielęgniarki pospieszyły wykonać polecenia. Kristi i Marissa stabilizowały pacjenta.

- Kansas City jest gotowe, helikopter będzie w ciągu dwudziestu minut - oznajmiła jedna z pielęgniarek po powrocie do pokoju.

- Test wykazał obecność gronkowca złocistego - oświadczyła druga.

- Przynajmniej wiemy, z czym mamy do czynienia - mruknął Justin.

- To można wyleczyć, prawda? - spytała Marissa. Opiekowała się już pacjentami w tym stanie i wszyscy wyzdrowieli.

- Tak, ale bakterie pewnie doprowadziły do utworzenia czopa zatorowego, który z kolei spowodował zatrzymanie akcji serca. Trzeba zrobić arteriografię i inne badania, a tutaj nie mamy takiej możliwości. Jeśli infekcja się rozwinie...

Marissa nie musiała słuchać szczegółów. Jeśli infekcja się rozwinie, prognozy będą kiepskie. Na szczęście stan Cartera był stabilny, chociaż nawet jeżeli pokona rozmaite komplikacje, będzie musiał poddać się kuracji antybiotykowej trwającej od czterech do sześciu tygodni.

Helikopter przyleciał o czasie i personel szpitala w Hope przekazał pacjenta.

- Ktoś ma ochotę na kawę? - spytał Justin.

- Ja - odparła natychmiast Marissa.

- Masz szczęście. - Justin chwycił ją za rękę i zaprowadził do pokoju pielęgniarek, gdzie czekał już dzbanek kawy.

- Ohyda - rzekła Marissa, gdy wypła łyk.

- Ale to zastrzyk kofeiny. Jeśli masz ochotę na dobrą kawę, zabiorę cię wieczorem do najlepszej kawiarni w mieście, żeby uczcić remont mojego domu.

- Czy to randka?

Uśmiechnął się.

- Spotkanie przy cappuccino to nie randka.

- Nie byłabym taka pewna.

- Uwierz mi. Dam ci znać, kiedy ta chwila nadejdzie.

- Wypił duszkiem kawę i wrzucił papierowy kubek do kosza. - Wybacz, muszę lecieć. Więc o siódmiej?

- Dobrze.

- Świetnie. - Nagle zrobił coś, czego nigdy nie robił w szpitalu. Pocałował ją w usta, po czym zniknął, a Marissa stała jak oniemiała.

- Jest pani gotowa stąd prysnąć, panno Lucy? - żartował Justin kilka minut później.

- Jestem gotowa od początku tygodnia - rzekła cierpko Lucy, ale błysk w jej oczach łagodził ostry ton.

- W takim razie wypiszę panią jutro rano.

- Młody człowieku, to najlepsza wiadomość tego dnia. - Westchnęła. - Tęsknię za ogrodem. Za zapachem róż i ziemią za paznokciami.

Justin uniósł rękę.

- Chwileczkę. Wąchanie róż jest w porządku, ale co do ziemi za paznokciami, musi pani poczekać. Nie wolno się pani teraz męczyć. Czeka panią długa rekonwalescencja. Nie chcę, żeby pani stan znów się pogorszył.

- Nie pogorszy się. Moja siostra jest większą marudą niż pan.

- No i dobrze, bo inaczej zatrzymam panią jeszcze tydzień.

- Obiecuję, że nic mi nie będzie. Wyśpię się wreszcie we własnym łóżku.

On też nie mógł się doczekać, kiedy wyśpi się we własnym łóżku. Chętnie widziałbym tam też Marisę.

- Muszę panią ostrzec: zrobiliśmy w ogrodzie co umieliśmy, ale nie jesteśmy takimi profesjonalistami jak pani.

- Na pewno sobie poradziliście. Zresztą jak się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma. - Zniżyła głos.

- A jak się między wami układa?

- Niby co? - spytał wymijająco.

- Powiedziała mi o waszej rozmowie.
- Czy wspomniała o swoim szalonym pomysle, żeby zostać samotną matką?

- Tak.

- Mam nadzieję, że pani wybiła jej to z głowy.

Lucy się uśmiechnęła.

- Ona się boi, że znów popełni błąd. Patrząc na wybryki matki, martwi się, że niedaleko pada jabłko od jabłoni.

- Ona w niczym nie przypomina swojej matki.

- Pan i ja to wiemy, ale proszę spojrzeć na to z jej punktu widzenia. Wszyscy, których kochała, odrzucili ją w ten czy inny sposób. Ojciec zmarł, matka podrzuciła ją do babki jak niechciany bagaż, a teraz Travis.
- Pokręciła głową. - Biedactwo. Jak się tyle razy spadało z konia, trudno znowu wsiąść.

Justin wzdrygnął się w duchu. On także nie zachowywał się jak należy. Nic dziwnego, że Marissa przestała na niego liczyć. Ale nie podda się bez walki.

- Nie jestem Pendletonem.

- Nie musi mnie pan przekonywać.

- Udowodnię Marissie, że bardzo mi na niej zależy, ale nie chcę posyłać jej kwiatów i bombonierki. Ma pani jakiś pomysł?

- W tej chwili nie, ale drogie prezenty nie robią na niej wrażenia.

- Wiem. Zawsze wybieraliśmy proste rozrywki, wypożyczaliśmy filmy, chodziliśmy na lody, na spacer. Teraz chciałbym, żeby to było coś wyjątkowego.

- Rozumiem, ale skoro ona lubi proste rozrywki, na pańskim miejscu trzymałabym się tego. Nic nie jest tak cenne jak czas, który poświęcamy drugiej osobie.

- Spędzam z nią wiele czasu za dnia, - A chciałby też spędzać z nią noce, gdyby dała się przekonać.

- Muszę się zastanowić. Coś wymyślimy.

- Dziękuję. Proszę się wyspać, żeby miała pani siły wracać do domu.

- O to się nie obawiam.

Justin odwrócił się, zadowolony, że ma sprzymierzeńca.

- Niech pan zaczeka - zawołała Lucy, gdy dotarł do drzwi. - Mam pomysł. A nawet dwa.

- Zamieniam się w słuch.

- Ma pan zręczne ręce.

Uśmiechnął się.

- Zależy, co miałbym zrobić. - Przyszło mu do głowy kilka pomysłów, ale żaden z nich nie nadawał się do tego, by podzielić się nim z Lucy. - Operacja mózgu odpada, ale poza tym dam radę.

- Wspaniale. Marissa od dawna marzy o dwóch rzeczach.

Justin wysłuchiwał jej uważnie. Pierwszy pomysł Lucy nie powinien sprawić mu problemu, ale drugi? Będzie ciężko, lecz znajdzie i na to sposób.

- No, Justin. Jestem pod wrażeniem.

Justin nie dyskutował. Czekoladowobrązowa skórzana sofa i fotel do kompletu, które wybrała Marissa, znakomicie komponowały się z kolorem ścian i jasnobieżową wykładziną, także jej wyboru.

Niebiesko-zielono-bordowe poduszki stanowiły barwny akcent.

- Jest pięknie i przytulnie, prawda? - powiedziała.

Pokój był niewiarygodnie ładny w porównaniu

z tym, jak wyglądał wcześniej, ale Justin nie mógł oderwać oczu od Marissy.

- Zgadzam się w stu procentach.

- Chciałabym jeszcze zerknąć na sypialnię. - Wzięła go za rękę i pociągnęła korytarzem. - O wiele lepiej, prawda? - spytała, rozglądając się.

Cieszył się jej szczęściem.

- To twoja zasługa, Mari. Świetnie się spisałaś.

- Dzięki. - Uśmiechnęła się szelmowsko. - Nie sądziłam, że łóżko z baldachimem będzie pasowało, a pasuje.

- Wszystko się da osiągnąć, jeśli się tego dość mocno pragnie - odparł. Nie mógł przegapić takiej okazji, niezależnie od kosztów. Gdy tylko ujrzał ramę łóżka w sklepie, wyobraził sobie wiszącą na niej koronkową bieliznę Marissy.

Teraz patrzył, jak gładzi delikatnie ciemnozieloną kapę. Choć w domu była klimatyzacja, Justinowi zrobiło się gorąco. Jeśli nie zmienią otoczenia, położy Marissę na tym łóżku i zerwie z niej T-shirt i dżinsowe szorty.

A Toby spędzi kilka godzin na podwórzu, czekając na ptaki i goniąc wiewiórki.

- Możemy już iść? - spytał zachrypniętym głosem.

- Tak, ale szkoda, że dłużej nie posiedzimy, żeby nacieszyć się twoimi nowymi meblami.

Pragnienie, by ją posiąść, stało się już bolesne.

- Innym razem. - Pchnął ją do przedpokoju, z nadzieją, że niedługo spełni swoje marzenia. - Ślinka mi cieknie na myśl o waniliowym cappuccino.

- Muszę odwieźć Toby'ego. Pojedziesz ze mną?

- Zostaw go tutaj - odparł. - Miejscowy kot i wiewiórki potrzebują trochę ruchu.

Marissa zwróciła uwagę, że prowadząc ją do samochodu, Justin trzymał dłoń na jej karku. Chyba nigdy tego nie robił. Pamiętałaby te cudowne dreszcze.

A może tylko postrzega go inaczej?

Przestań to analizować, powiedziała sobie. Ciesz się chwilą. Ich spotkanie miało w sobie coś z randki, choć Justin temu zaprzeczał, a z drugiej strony przypominało wiele poprzednich spotkań.

- Krażą plotki, że Travis nieźle oberwał po tym artykule w gazecie - rzekł Justin, popijając cappuccino.

- Naprawdę?

- Nie tylko on. Wszyscy członkowie rady miejskiej nasłuchali się od wyborców. Nie zdziwiłbym się, gdyby podczas kolejnych wyborów pojawiły się nowe twarze.

- No i dobrze. Może dwa razy pomyślą, zanim zrobią cięcia w programie dotyczącym zdrowia.

- Coś mi mówi, że tak będzie. - Odstawił pustą filiżankę na stół. - Idziemy?

Marissa nie miała jeszcze ochoty wychodzić, ale nie mogli siedzieć w kawiarni cały wieczór. Nie mogli też zostawiać Toby'ego na dworze tyle godzin, bo robił za dużo zamieszania.

- Powinniśmy - rzekła, wstając. - Toby na pewno doprowadził sąsiadów do szału swoim szczekaniem.

Justin sięgnął do tylnej kieszeni. Na jego twarzy pojawił się uśmiech zażenowania.

- Mari?

- Znowu zapomniałeś portfela?

- Za dobrze mnie znasz - rzekł. - Wybacz.

Marissa wyjęła kilka banknotów z portmonetki.

- Jak możesz o tym zapominać? Co by było, gdyby policja cię zatrzymała i kazała ci okazać prawo jazdy?

- Mam szczęście mieszkać w małym mieście, gdzie wszyscy mnie znają.

- Któregoś dnia ja zapomnę portmonetki - zagroziła.

- To niemożliwe - stwierdził. - Spójrz na to w ten sposób. Gdyby to była randka, nie przyszlabyś, prawda?

- Zapewne.

- Na prawdziwej randce to mężczyzna płaci za kolację. A ponieważ ja nie płacę, to nie była randka.

Roześmiała się.

- Skoro tak twierdzisz.

Randka czy nie randka, Marissa nie mogła zaprzeczyć, że było trochę inaczej niż zwykle. Justin otworzył jej drzwi samochodu, siedł, obejmując ją w pasie. Wspomniałaby o tym, by udowodnić swoją rację, ale za bardzo jej się to podobało, by ryzykować, że to straci.

Kiedy zajechali do domu Justina, okazało się, że Toby leżał spokojnie w trawie, obserwując podwórko.

- Jaki zadowolony - zauważył Justin.

- Jest w swoim żywiole, ale dzisiaj czeka go kąpiel.

- Wątpię, czy jeden dzień zrobi mu różnicę.

- Jemu nie, ale gdyby z tobą spał, zmieniłbyś zdanie.

Kilka minut później Marissa stała w drzwiach ze smyczą w dłoni.

- Było miło, nawet jeśli musiałam za to zapłacić - zażartowała.

- Cieszę się. Jutro wieczorem Annie Tremaine da koncert na dudach, o ile będzie wolna. Masz ochotę posłuchać?

- Jasne, czemu nie? - Zawahała się. - Czy to będzie randka?

- A chcesz tego?
- Nie - odparła natychmiast.
- No to nie. Przyjadę po ciebie o wpół do dziewiątej.

Marissa odwróciła się do wyjścia, marząc o pocałunku, a równocześnie się go bojąc. W końcu nie miała wyboru. Justin przyciągnął ją i bez wahania pocałował w usta.

Z początku całował ją delikatnie, jakby tylko badał teren. Ale już po chwili ten pocałunek zamienił się w coś innego: Marissa czuła dreszcze pożądania. W duchu pragnęła, by poprosił ją, żeby została, ale natychmiast do akcji włączył się rozsądek. I chociaż jej potrzeba była tak elementarna jak potrzeba oddychania, wiedziała, że gdyby poszła z nim do łóżka, wszystko by zepsuła.

Powarkiwanie Toby'ego skutecznie im przeszkodziło. Oderwali się od siebie. Jedynym pocieszeniem Marissy była rozczarowana mina Justina.

- Do jutra - rzekła, szybko wychodząc, zanim zrobi coś, czego, będzie później żałować.

Nazajutrz wieczorem Justin pojawił się punktualnie, i to z podarunkami.

- Chryzantema! - zawołała Marissa. - Skąd wiedziałeś, że o niej marzyłam?

- W zeszłym tygodniu wspomniałaś, że masz puste miejsce na grządce. Pomyślałem, że i ty, i Toby będziecie bardziej zadowoleni z tego niż z ciętych kwiatów.

- A to dlaczego?

- Ty będziesz miała przyjemność z sadzenia, a Toby z wykopywania. - Uśmiechnął się.

Niewielu mężczyzn próbowałoby zrobić wrażenie na kobiecie kwiatem w doniczce, ale z chryzantemą Justin

trafił w dziesiątkę. Zwłaszcza że wybrał kwiat w jej ulubionym kolorze.

- Dziękuję. Jest piękna.

- Cieszę się, że ci się podoba. - Postawił doniczkę na stole i otrzepał ręce. - Chodźmy, bo nie znajdziemy miejsca.

Tak jak przewidział, tłum już się zebrał wokół otwartych drzwi remizy. Annie Tremaine, jej mąż Jared i reszta jej załogi z karetki krążyli pośród grup widzów.

Justin rozłożył koc pod drzewem i usiadł.

- Siadaj - zaprosił Marissę.

O dziewiątej, gdy słońce schowało się za linię drzew, rozpoczął się koncert. Marissa zamknęła oczy i dała się ponieść muzyce, nie zapominając o siedzącym obok mężczyźnie. Pachniał mydłem i czystością, a te zapachy mieszały się z wonią świeżo skoszonej trawy i palących się brykietów. Kiedy temperatura spadła o kilka stopni, Marissa instynktownie przysunęła się do Justina.

Posadził ją między szeroko rozstawionymi nogami i otoczył ramionami. Może powinna przejąć się tym, że ludzie na nich patrzą, ale liczył się tylko Justin, muzyka i jedna myśl. Jeśli wszystkie ich spotkania, które nie są randkami, będą tak wyglądały, będzie szczęśliwa.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

W niedzielne popołudnie Toby wpadł w szal na widok pickupa wjeżdżającego na podjazd. Marissa nie rozpoznała zdezelowanego pojazdu, tylko mężczyznę, który z niego wysiadł. Był ubrany w sprane dżinsy i T-shirt dziurawy jak ser szwajcarski.

- Nowy wózek? - zażartowała.
- Pożyczyłem samochód Jareda i Annie.
- Po co? - zainteresowała się.
- Sama zobacz. - Uśmiechnął się szeroko.

Poszła za nim na bosaka i z podziwem spojrzała na ładunek. .

- Drzewko? Czy to do twojego gabinetu?
- Ależ skąd. Dla ciebie.
- Dla mnie? - Nie mogła tego pojąć.
- Może to nietypowy prezent, ale skarżyłaś się, że brakuje ci cienia z tyłu domu.

- Tak, ale...

- Będziesz miała mnóstwo cienia. Facet, który mi je sprzedał, mówił, że to najszybciej rosnące z dostępnych gatunków. Nazywa się paulownia puszysta albo drzewo cesarskie.

- Słyszałam o nim. Na wiosnę ma lawendowe kwiaty.
- Osiąga wysokość trzech i pół metra w pierwszym roku. Toby będzie odpoczywał w jego cieniu, zanim lato się skończy. Pomyśl o tych wszystkich ptakach i wiewiórkach, które będzie obszczekiwał.

- Będę musiała zainwestować w specjalną obrozę.
- To pies, a psy szczekają.. Poza tym będzie miał gdzie podnieść łapę. Czy wiesz, że on sika, kucając jak suka?

Zignorowała jego obserwację, wciąż zdumiona podarunkiem.

- Nikt dotąd nie dał mi drzewa.
- Zawsze jest ten pierwszy raz - rzekł radośnie.
- Nie wiem, co powiedzieć.
- Wystarczy: dziękuję.
- Nie powinieneś być.
- Pomogłaś mi odświeżyć dom. Przysługa za przysługę.

- Ale...

Na jego zadowolonej z siebie twarzy pojawił się cień niepewności.

- Nie podoba ci się.
- Podoba. Tylko że...
- Jak go nie chcesz, powiedz szczerze - przerwał jej.
- Chcę.
- Wezmą je z powrotem - ciągnął. - To nie problem.
- Chcę je mieć.
- Na pewno? - Spojrzał jej w oczy.
- Justin, chcę mieć to drzewo. Jeśli odniosłeś przeciwne wrażenie, to przepraszam. Jestem po prostu zaskoczona.

Była wzruszona. To było tak wyjątkowe, tak bardzo w stylu Justina, że owładnęły nią silne emocje.

Justin przygadał się jej podejrzliwie.

- Chyba się nie rozpłacziesz?

Pokręciła głową, przełknęła i uśmiechnęła się.

- Nie mógłbyś mi zrobić lepszej niespodzianki.

- Może jest wariatką, ale świeże kwiaty są przereklamowane. Owszem, nie można odmówić im urody, ale nie wytrzymują porównania z jej drzewem. Róże więdną po tygodniu, a drzewo będzie jej przez lata przypominać o trosce Justina. Czy może być coś bardziej romantycznego?

- To dobrze - odetchnął z ulgą, a na jego twarz powrócił zadowolony uśmiech. Marissa widziała niemal, jak wypina pierś. - Wybierzemy jakieś miejsce, czy już wiesz, gdzie je posadzić? - spytał.

- Wiem. - Wyjęła szpadel z pickupa, a Justin niósł wysokie na około metr drzewko na tył jej domu. - Tutaj - rzekła, wbijając szpadel w ziemię.

Justin zabrał się do roboty. Jego twarz i ramiona pokryły kropelki potu. Marissa chciała zaoferować pomoc, ale powstrzymała się, widząc, jak zawzięcie pracował. Wyraźnie, chciał zrobić to sam, dla niej.

Tylko mężczyzna, który zna ją lepiej niż ona sama, pomyślałby o takim prezencie. Jeśli nie zachowa ostrożności, znowu się w nim zakocha.

Och, kogo ona oszukuje? Już się zakochała. Czy w ogóle kiedykolwiek przestała go kochać, czy tylko się okłamywała? Oskarżenia Justina, że zadowala ją byle co, że się boi i jest uparta, były słuszne. Przestała się dziwić jego rozdrażnieniu, a także temu, że nie chciał słuchać jej wymówek.

Teraz nie mogła się doczekać, kiedy Justin umówi się z nią na randkę. Zgodzi się bez wahania.

Przekonana, że zaproszenie nie padnie, dopóki nie skończą pracy, pragnęła ją przyspieszyć.

- Nie musisz kopać tak głęboko - powiedziała.

- Robię wszystko zgodnie z instrukcjami. Muszę tak

poruszyć ziemię, żeby powietrze i nawóz dostały się do korzeni - odparł zadyszany, rzucając kolejną porcję ziemi na rosnący pagórek.

Toby czekał i skakał dokoła podniecony.

Marissa nie zapomniwała, że jedna ręka Justina jest słabsza po wypadku.

- Teraz ja - oznajmiła.
- Mowy nie ma. Już prawie skończyłem.
- Twój lekarz na pewno nie polecał ci takiej terapii.
- Może, ale jest skuteczna. Jak chcesz być użyteczna, pilnuj, żeby Toby nie włąził mi pod nogi.

Terrier albo warczał na szpadel, albo próbował go ugryźć, albo grzebał w świeżo wykopanej ziemi. Tak czy owak przeszkadzał.

Marissa wzięła go na ręce.

- Przestań, Toby, chodź, przygotujemy lemoniadę.

Kiedy wróciła, Justin wsadził już drzewo do wykopanego dołu i zasypywał korzenie ziemią. Przez kilka minut pracowali w milczeniu, ustawiając drzewo w pionie. Podłali je jeszcze ogrodowym węzłem i po robocie.

Dzień był ciepły i wilgotny. Justin wypił duszkiem szklankę lemoniady. Nalewając mu drugą porcję, Marissa niecierpliwie czekała na zaproszenie na randkę.

Tymczasem Justin otarł pot z czoła i rzekł:

- Ależ gorąco.

Może powinna mu coś podpowiedzieć...

- Zostaniesz na kolację?

Spojrzał na nią przepraszająco.

- Wracam do Jareda, żeby mu pomóc. Ale jeszcze to przemyślę.

Poczuła się zawiedziona, lecz postanowiła to ukryć.

- Dobrze.

Chociaż nie obiecał, że wpadnie w drodze powrotnej, czekała na niego. Niestety, nie pojawił się. Szykując się do snu, pocieszała się, że zobaczy go na jutro.

W poniedziałek powitała go szerokim uśmiechem, kiedy przyszedł na obchód. Do końca dyżuru była pełna optymizmu. Gdy Justin wpadł wieczorem zapytać o zdrowie Lucy, Marissa oczekiwała, że przy okazji gdzieś ją zaprosi.

Odjechał, nie zaprosiwszy jej nawet na lody.

A zatem to będzie wtorek, pomyślała. A jednak wtorek minął bez słowa o spotkaniu. Chociaż, mówiąc szczerze, widziała Justina tylko przez dziesięć minut, podczas obchodu na oddziale.

- U Lonniego wszystko bez zmian — oznajmił. - Daj mi znać, gdyby coś się działo.

Zanim mu odpowiedziała, już go nie było.

W środę zaczęła się niecierpliwic. Zaprosiła go na spacer z Tobym, a on odmówił bez podania powodu.

Jak ma zgodzić się na randkę, której jej nie proponuje? A ponieważ nie proponował niczego, jej niepewność rozpleniła się jak chwasty w ogrodzie Lucy. Czyżby zmienił zdanie? Czy może stwierdził, że nie ma co się wysilać, bo Marissa jest pewna jak lokata w banku?

Przestań się zamartwiać, mówiła sobie. Justin ma po prostu dużo pracy.

Kristi zauważyła, że przyjaciółka podskakuje nerwowo, ilekroć dzwoni telefon i patrzy na zegarek, gdy zbliża się obchód. Doprawdy, zrobiła się żałosna.

- Przestań się wreszcie zadrećcać - powiedziała Kristi w środę po południu. - Travis Pendleton nie jest wart, żeby opłakiwać go choćby przez minutę.

- Masz rację - przyznała Marissa, nie wyprowadzając Kristi z błędu. Nie chciała mówić nic o Justinie, nawet najbliższej przyjaciółce, bo sytuacja jest zbyt świeża.

Przysięgła sobie, że przestanie się gryźć. To do niczego nie prowadzi.

W czwartek kryzys w rodzinie Newlandów usunął w cień jej osobiste problemy.

- Ataki powtarzają się co dziesięć minut - oznajmiła pielęgniarka z nocnego dyżuru. - Byłabym zaskoczona, gdyby przeżył kolejną dobę.

- Wezwałeś doktora St. Jamesa? - spytała Marissa.

- O północy. Odwiedził panią Newland, ale chyba nic nie wskórał.

Marissa wiedziała, że Justin przygotowywał Abby na to, co nieuniknione od chwili, kiedy pomimo leków ataki padaczki występowały coraz częściej. W ciągu dwóch minionych dni rozwinęła się też infekcja dróg moczowych, a zapalenie płuc powróciło na dobre. Cały organizm Lonniego stał się pożywką dla bakterii, i tym razem medycyna z nimi przegrywała.

Nadeszła pora, by pozwolić mu odejść.

- Przyjaźnicie się - ciągnęła pielęgniarka. - Może ją przekonasz.

Tak, akurat! Jakby Marissa miała ochotę przekonywać Abby, by porzuciła miłość swojego życia. Ale, patrząc na to realistycznie, Abby tylko przeciągała cierpienie Lonniego. Czy się do tego przyznawała, czy nie, wiele miesięcy temu straciła męża. Tylko jego ciało nie chciało odejść w tym samym czasie co duch.

- Porozmawiam z nią - obiecała.

Zaraz po rozpoczęciu dyżuru niechętnie weszła do

pokoju Lonniego. Od razu zauważyła, że Lonnie wygląda gorzej, podobnie zresztą jak Abby.

- Wcześniej przyszłaś - odezwała się. - Dopiero piąta rano.

- Jakie to ma znaczenie?

Marissa spojrzała na monitory, a potem zwróciła uwagę, że dolna warga Lonniego jest spękana i krwawi. Posmarowała ją maścią.

- Rozumiem, że doktor St. James przedstawił ci swoją ocenę sytuacji?

- Sugerował, żeby go odłączyć od aparatury.

Marissa wiedziała, że są takie chwile, kiedy trzeba tylko słuchać.

Abby westchnęła, trzymając Lonniego za rękę.

- Eric uważa, że powinnam wyrazić zgodę.

- A ty czego chcesz? - spytała Marissa.

Przez chwilę panowała cisza.

- Oboje podpisaliśmy żądanie zaniechania leczenia.

Kątem oka Marissa spostrzegła, że Justin wśliznął się bezszelestnie do pokoju. Wyglądał, jakby właśnie wziął prysznic, ale w jego oczach widziała zmęczenie.

- Zaraz po wypadku - zaczęła cicho Abby - lekarze dawali nam nadzieję. Byłam w ciąży, więc upierałam się, żeby zrobić dla niego wszystko co możliwe. - Zawahała się.

- Potem sytuacja się zmieniła. Tylko ja wierzyłam, że Lonnie dojdzie do siebie. - Dotknęła brzucha i wzięła głęboki oddech. - Jeśli go odłączymy, jak długo to potrwa?

- Trudno powiedzieć - odparł Justin. - Może parę minut, a może godzin.

Nagle Abby zgięła się wpół, obejmując brzuch. Marissa wymieniła spojrzenie z Justinem, po czym położyła dłonie na ramionach Abby.

- To już, prawda?

Abby wyprostowała się i przytaknęła.

- Mam skurcze od dziesiątej wieczór.

- Powinnaś leżeć w domu.

Abby pokręciła głową.

- Musiałam być z Lonniem. Zresztą stwierdziłam, że jak skurcze się nasilą, nie będę musiała daleko chodzić.

- Jak często są skurcze? - spytał Justin.

- Co pięć minut.

Jeśli natychmiast czegoś nie zrobią, będą odbierali dziecko z Justinem, pomyślała Marissa.

- Pojedziesz na położnictwo - oznajmiła.

- Dobrze. - Pot pokrył czoło Abby. - Ale musicie mi coś obiecać.

Marissa domyślała się, o co chodzi.

- Jeśli to możliwe.

- Nie pozwólcie mu odejść, dopóki nie wrócę.

Raz jeszcze Marissa wymieniła spojrzenie z Justinem. Nie mogli przewidzieć, jak długo Lonnie z nimi zostanie. A położnik Abby z pewnością nie zgodzi się, żeby biegała po szpitalu, skoro zaczęła rodzić. Nie wiadomo jeszcze, czy będzie to łatwy poród.

- To może okazać się trudne - zaczął Justin.

Abby ścisnęła dłoń Marissy aż do bólu.

- Obiecuj mi.

- Obiecuję - powiedziała Marissa.

- Zrobimy, co w naszej mocy - dodał Justin, choć miał poważne wątpliwości.

- Mam jeszcze jedną prośbę. - Kolejny skurcz chwycił Abby. Odczekała chwilę. - Zostań z nim, dobrze? Nie chcę, żeby był sam, gdyby... gdyby odszedł, zanim

wrócę. Nie mam nic przeciwko innym pielęgniarkom, ale ty jedna nie traktujesz go z dystansem.

Pielęgniarki są też ludźmi, a niektórzy pacjenci wzbudzają w nich więcej współczucia niż inni. Emocjonalny dystans jest mechanizmem obronnym, który pozwala im wykonywać tę pracę.

- Będę obok - obiecała Marissa.
- Dziękuję. - Abby puściła jej dłoń.

Po kilku minutach pielęgniarka z położnictwa zawiozła Abby na swój oddział. Wezwano także Erica, który miał jej towarzyszyć podczas porodu.

- Myślisz, że Lonnie wytrzyma? - Marissa spytała Justina.

- Miejmy nadzieję.
- A może by mu zwiększyć dawkę leków przeciwpadaczkowych?

- Dostaje maksymalną dawkę. Jak dam mu więcej, może się tylko zatruć.

- Więc co zrobimy?
- Nic, będziemy czekać z nadzieją, że Abby szybko urodzi. Nie zostało mu wiele czasu.

Marissa zerknęła na Lonniego.

- Więc to będzie dzisiaj.
- Jego serce bije coraz wolniej.
- Dziwne, że los jednego zabiera, a drugiego sprowadza na ten świat w tym samym czasie.

- To jedna z wielkich tajemnic życia. - Podał jej ostatnie wyniki z laboratorium. - Wiesz, gdzie mnie szukać.

Biorąc od niego kartkę, wydała stłumiony okrzyk na widok jego pokaleczonych rąk.

- Justin! Co ci się stało?

Wyprostował palce, jakby widział je po raz pierwszy.

- To? To nic.

- Nic? . . .

Natychmiast schował ręce do kieszeni.

- Pracowałem w garażu - wyjaśnił.

Nie zabrzmiało to przekonująco. Marissa nie wyobrażała sobie, co takiego mógłby robić, żeby tak się pokaleczyć.

- Chyba nie zacząłeś trenować boksu?

- Boksu? - zdziwił się. - Nie.

- Więc co...?

- Jeśli musisz wiedzieć, jestem niezdarą - oznajmił zirytowany. - Koniec przesłuchania?

- Mam nadzieję, że to zdezynfekowałeś.

- Jestem lekarzem.

- A ja pielęgniarką. Lekarze są najgorszymi pacjentami.

- Martw się lepiej o Abby. Zadzwoń w razie czego.

Tymczasem to on dzwonił kilka razy, by dowiedzieć się, co się dzieje.

- Jeszcze nie urodziła - poinformowała go o północy.

- Serce Lonniego zwolniło, mam nadzieję, że Abby się pospieszy.

O piątej rano, kiedy Marissa kończyła dyżur, zadzwonił Eric.

- Abby urodziła syna - oznajmił szczęśliwy. - Dwa i pół kilo wagi, ale urośnie.

- Zdrowy? - spytała.

- Na skali Apgar dostał ósemkę, a zaraz potem dziesiątkę. To chyba dobrze.

Tak, dobrze. To znaczy, że wszystko jest w normie.

- A Abby?

- Zmęczona, ale w porządku. Chce zaraz do was wracać, ale musi poczekać parę godzin. A jak Lonnie?

- Trzyma się. - Tylko tyle mogła powiedzieć. Ataki się powtarzały. Większość czasu pilnowała, żeby jego drogi oddechowe były drożne. Puls spadł do dwudziestu.

- Daj znać, kiedy uznasz, że zostały mu tylko minuty. Abby przyjedzie niezależnie od tego, co powie jej lekarz.

Marissa trzymała kciuki, by nie było to konieczne.

Przekazała obowiązki pielęgniarce z kolejnego dyżuru, przebrała się, po czym wróciła do pokoju Lonniego, gdzie Justin zastał ją o szóstej po południu.

- Wciąż tutaj siedzisz.

- Obiecałam to Abby.

- Kiedy Jennings pozwoli jej tu przyjechać?

Marissa zerknęła na zegar.

- Za godzinę.

- Jesteś głodna? - spytał. - Przyniosę ci coś z barku.

- Nie trzeba, nie mam apetytu.

Objął ją w pasie.

- Trzymasz się?

- Tak. - Zazwyczaj wykonywała swoje obowiązki rutynowo, ale kiedy wyobraziła sobie siebie na miejscu Abby, a Justina na miejscu Lonniego, łzy popłynęły jej po policzkach.

- To może kawy?

Kiedy pokręciła głową, pchnął ją w stronę drzwi.

- Odpocznij, ja z nim zostanę. Cały dzień tkwisz w murach, świeże powietrze dobrze ci zrobi. To polecenie lekarskie.

Może ciepło słońca odpędzi chłód w jej sercu.

- Dobrze, ale tylko pięć minut.

W końcu wróciła po dziesięciu minutach. Zaraz potem

Eric przywiózł Abby z maleństwem. Na chwilę dziecko przesłoniło wszystko inne.

- Przystojniak! - zawołała Marissa, patrząc na pomarszczoną twarz śpiącego dziecka.

Abby uśmiechnęła się i pogłaskała maleńki policzek.

- Będzie się nazywał Nathaniel. Nathaniel Alonzo Newland. Lonnie to zdrobnienie od Alonzo.

- Na pewno będzie zadowolony.

- Ja też tak myślę.

Marissa i Justin stanęli w nogach łóżka, żeby Abby miała dostęp do męża. Eric przysunął ją bliżej i pomógł jej położyć Nathaniela obok ojca.

- To twój syn, Lonnie - powiedziała Abby. - Jest do ciebie podobny.

Marissa z trudem powstrzymywała łzy, aż wreszcie wymknęła się z pokoju. Justin wyszedł za nią do pustego pokoju pielęgniarek i przytulił ją, jakby wyczuł jej emocje.

- Nic mi nie jest - powiedziała. - Tylko to takie wzruszające.

- Tak, wiem.

- Poczułam się jak intruz, nie mogłam zostać.

- Rozumiem.

Marissa zerknęła na rodzinę Newlandów przez szybę.

- Dziwne, że Lonnie nie miał dotąd ataku.

- Tak, ale spójrz na puls.

Biała linia tylko z rzadka podskakiwała do góry. Nagle w drzwiach stanął Eric, wyraźnie wykończony.

- Abby was prosi..

Abby miała tylko jedno pytanie.

- Możecie to zrobić?

Kiedy odłączyli Lonniego od aparatury, pojawiła się

pielęgniarka z oddziału noworodków z łóżeczkiem dla dziecka.

- Jak zacznie płakać, zadzwońcie do nas, to go zabierzemy - powiedziała do Marissy. - Mam wątpliwości, czy powinien tutaj być, ale w tych okolicznościach nie mogliśmy odmówić.

Godziny mijały nieskończenie powoli. Marissa cały czas obserwowała pokój Lonniego. Chociaż była już po pracy, opiekowała się nim. Stwierdziła, że w tej sytuacji Abby nie powinna towarzyszyć zupełnie obca osoba.

- Możesz iść do domu - zwróciła się do Justina. - Teraz zostało tylko czekanie.

- Skoro ty zostajesz, to ja też - odparł. - Co za różnica, gdzie oglądam telewizję.

O ósmej wieczorem Nathaniel potrzebował butelki i pieluszki. Natychmiast dostarczyły je pielęgniarki z oddziału noworodków. Potem zasnął zadowolony w swoim łóżeczku, nieświadomy rozgrywającego się obok dramatu.

Do pół do dwunastej puls Lonniego zwolnił do dzieśnięcia. Marissa zaciągnęła zasłony wokół łóżka i wyszła z pokoju, by zapewnić Abby intymność.

Dwie pielęgniarki na dyżurze po cichu robiły swoje, Justin i Marissa siedzieli głównie sami. Monitor dostarczał im informacji na temat stanu Lonniego. Jego puls zwolnił do pięciu, a w końcu na ekranie pojawiła się ciągła linia.

Marissa zerknęła na zegar.

- Trzy minuty do północy. Szkoda, że nie wytrzymał trochę dłużej. Nathaniel nie powinien obchodzić urodzin w dniu śmierci ojca.

- I nie będzie - rzekł Justin, patrząc na swój zegarek. - Według mojego zegarka jest dwunasta zero dwie.

Marissa raz jeszcze przeniosła wzrok na zegar ścienny.

- Kie możesz sfałszować świadectwa zgonu.

- Kto mówi o fałszowaniu? Znaleźliśmy go dwie minuty po dwunastej.

Marissa miała łzy w oczach. Ten człowiek jest wart miłości.

- Dziękuję - powiedziała.

Dwie minuty po dwunastej Justin wszedł za zasłonę wykonać swoje obowiązki. Siedem minut po północy mały Nathaniel zapłakał, domagając się uwagi.

Życie toczyło się dalej.

- Jesteś dzisiaj wyjątkowo milcząca - zauważyła Lucy kilka dni później.

Marissa odwróciła się od okna wychodzącego na ogród.

- Przepraszam.

- Ciężko jest stracić pacjenta.

Marissa popatrzyła na Lucy z niedowierzaniem.

- Skąd wiesz?

- Czytam gazety. Ale chyba mimo wszystko śmierć była dla tego człowieka błogosławieństwem.

- Tak.

- Więc skąd ta smężna mina?

Marissa nie mogła dłużej ukrywać swojej frustracji.

- Zwariuję przez tego Justina! Nie pozwala mi spotykać się z innymi, a przez cały tydzień prawie go nie widuję.

Uśmiech rozjaśnił pomarszczoną twarz Lucy.

- Na pewno nie bez powodu.

- Ja nic nie wiem - burknęła.

- I to cię złości.

- No jasne. Kocham go, a on nawet nie zaprosi mnie na oficjalną randkę!

- Jak myślisz, dlaczego?

Marissa wyrzuciła do góry ręce i zaczęła krążyć po kuchni.

- Kto to wie?

Lucy splotła dłonie na podołku.

- Kiedy ci oświadczył, że chce cię mieć tylko dla siebie, nie miałaś wątpliwości?

- Tak, ale...

- Zgodziłabyś się, gdyby cię wtedy zaprosił na tę, jak to nazwałaś, oficjalną randkę?

- Nie - przyznała.

- No i masz odpowiedź. On też nie chce zostać odrzucony. Pewnie czeka, aż mu nie odmówisz.

- Nie odmówię.

- My to wiemy, ale on nie wie.

- Wiedziałyby, gdyby spróbował się dowiedzieć. Może już nie jest zainteresowany...

Lucy cmoknęła, jak nauczyciel zniecierpliwiony krnąbrnym uczniem.

- Powtórzę to, bo chyba nie rozumiesz. Jesteś osobą, która bierze sprawy w swoje ręce, inaczej nie osiągnęłabyś niczego, prawda?

Marissa zastanowiła się przez moment.

- Chyba tak.

- Innymi słowy, zawsze osiągasz cel.

- Tak - rzekła powoli Marissa, usiłując śledzić tok myśli Lucy.

- W college'u czekałaś, aż Justin cię zauważy. I wciąż czekasz, aż on zrobi pierwszy ruch, podczas gdy teraz kolej na ciebie.

- Rozumiem. - Wreszcie to do niej dotarło.
- W innych dziedzinach życia zwykle przejmujesz inicjatywę, a jeśli chodzi o Justina nie. Dlaczego?

Lucy miała rację.

- Nie wiem - wyznała Marissa. - Chyba uważam, że to rola mężczyzny..

- Może za mojej młodości, ale nie teraz - rzekła Lucy. - Dzisiaj młode kobiety mają więcej odwagi, same kierują swoim losem. Tak, moja droga, masz wybór. Możesz czekać, jak dotąd, i tracić czas, albo wziąć sprawę w swoje ręce.

Oczy Lucy zalśniły.

- Mówiąc szczerze, gdybym miała taki cel na oku, nie marnowałabym niedzielnego popołudnia w towarzystwie jakiejś staruchy.

Korzystaj z chwili. Czy nie tak radziła jej Abby?

- To leczę. - Jej serce przyspieszyło. - Mogę zostawić u ciebie Toby'ego? Jeśli nie wrócę do kolacji, nakarm go, proszę. Jedzenie jest...

Lucy przerwała jej.

- Wiem; gdzie jest jego jedzenie. Nie martw się o Toby'ego i nie spiesz się, na Boga. Nie mam nic przeciwko małemu podgrzewaczowi, który ogrzeje mi stopy w nocy, jeśli wy dwoje zechcecie się ogrzać.

Marissa się zarumieniła.

- Lucy!

- Mówię poważnie. Zaopiekujemy się z Harriet twoim psem. Oczekuję, że w zamian zaopiekujesz się Justinem. - Ruszyła do drzwi. - A teraz biegnij. Chciałabym mieć chociaż kilka chwil spokoju, zanim Harriet wróci i zagada mnie na śmierć.

Marissa się zaśmiała.

- Już pędzę.
- I nie zapomnij skropić się swoimi cudownymi perfumami.
- Nie zapomnę.
- Aha, Marissa - dodała Lucy w progu. - Mężczyzna, który sadi drzewo, chce zostać długo, żeby zobaczyć, jak ono wyrośnie.

RS

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Marissa skropiła się ulubionymi perfumami, włożyła dopasowaną spódnicę przed kolana i żółtą bluzkę bez rękawów, zamieniła klapki na sandały, uczesała włosy i założyła korale z pereł.

Denerwowała się jak przed ostatnim egzaminem. Jej przyszłość osobista była tak niepewna, jak niegdyś przyszłość zawodowa. W obu sytuacjach błąd oznaczał katastrofę.

Justin nie otworzył jej, kiedy pukała do drzwi, ale z jego garażu dobiegały rytmiczne odgłosy. Boczne drzwi były otwarte, więc ruszyła w stronę garażu z nadzieją, że tam go znajdzie. Stał do niej plecami z młotkiem w dłoni i mruczał coś o krzywych gwoździach. Cementową podłogę pokrywały trociny, w powietrzu unosił się zapach świeżej tarcicy. Justin trzymał gwóźdź w lewej ręce. Marissa usłyszała, jak gwóźdź łąduje na podłodze z metalicznym dźwiękiem. Justin sięgnął po kolejny gwóźdź, przeklinając pod nosem. Nagle zrozumiała, dlaczego ma takie pokaleczone dłonie.

- Cześć - powiedziała.

Obrócił się gwałtownie.

- Marissa. Co tutaj robisz?

- Dawno cię nie widziałam, więc pomyślałam, że wpadnę. - Weszła do garażu. - Co robisz?

Odłożył młotek na stół i zasłonił jej widok.

- Mamy pewien projekt z Jaredem.

- Mogę zobaczyć?

- Jeszcze nieskończone.

- Nie szkodzi.
- To dla ciebie - powiedział równocześnie dumny i zdenerwowany.

- Dla mnie? Więc muszę to zobaczyć. - Okrzyła go i ujrzała żardynierę w formie małej studni, do jakiej wrzuca się pieniądze na szczęście. Właśnie coś takiego pragnęła postawić w ogrodzie na tyłach domu.

Kiedy uświadomiła sobie, co zrobił Justin, z wrażenia wstrzymała oddech.

- Och, Justin.
- Podoba ci się? Jared pomógł mi przyciąć deski, ale to mój pierwszy projekt. Wyszło trochę nierówno.

- Jest piękna.

- Kilka gwoździ wbiłem krzywo i...

Marissa objęła go za szyję i dotknęła jego warg.

- Jest piękna i nie pozwolę ci mówić inaczej.

Uśmiechnął się.

- Okej. Więc ci się podoba?

- Bardzo. Skąd wiedziałeś, że o tym marzę?

- Od Lucy.

Marissa się zaśmiała.

- Lucy ostatnio ma wiele pomysłów.

- I wszystkie są dobre.

Nie mogła się z tym nie zgodzić.

- Jestem zachwycona twoim dziełem.

- To tylko żardyniera.

- Nieważne. Dla ciebie to było ogromne wyzwanie, mogłeś sobie odciąć palec albo...

- Może nie jestem budowlańcem, ale nie jestem też kompletnym niezdara - oburzył się.

- Przecież wiertarką mogłeś sobie wywiercić dziurę w ręce, a co wtedy z twoją karierą?

Justin położył dłonie na biodrach Marissy.

- Ale nie wywierciłem, za bardzo się przejmujesz.
- Może - przyznała.
- Uspokoję cię, że na przyszłość zostawię stolarkę

fachowcom.

- I dobrze. - Coś jej wpadło do głowy. - To dlatego nie widziałam cię cały tydzień?

- Tak. Nie sądziłem, że zabierze mi to tyle czasu. Pracy też miałem więcej niż zwykle.

Marissa zawstydziała się swoich wątpliwości, które teraz ulotniły się w jednej chwili.

Justin objął ją mocniej.

- Wyobrażałaś sobie różne straszne rzeczy?

Nie chciała przyznać tego głośno.

- Myślałam, że zmieniłeś zdanie, jeśli chodzi o nas.
- Nie zmieniłem. - Patrzył na nią bacznie. - Dlaczego przyszłaś, skoro chodziły ci po głowie takie myśli? Żeby mnie przytapać z inną?

- Nie! - Przerazona wyrwała się z jego objęć.
- Więc czemu?

Wzięła głęboki oddech.

- Kiedy przywiozłeś mi drzewo, coś sobie uświadomiłam. Nigdy nie umawiałam się na randki z mężczyzną, którego kocham. Czekałam na ciebie cały tydzień.

- Przepraszam, gdybym wiedział...
- Nie szkodzi. Abby powiedziała mi, że trzeba wykorzystywać każdą chwilę w życiu. Więc zamiast czekać, aż zrobisz pierwszy krok, przyszedłam do ciebie.

Justin miał nieczytelną minę, ale ona zabrnęła już za daleko, by się wycofać.

- Justin - podjęła - czy pójdziesz ze mną na kolację do D'Angelo dzisiaj wieczorem?

- Kochasz mnie?
- Tak - odparła szczerze.
- Na sto procent?

Najwyraźniej nie tylko ona miała wątpliwości.

- Sto procent. Ale nie mówię tego, żebyś czuł się zobowiązany...

- Nie - przerwał. - Nigdy w życiu tak się nie denerwowałem jak wtedy, gdy sądziłem, że wyjdiesz za Pendletona.

- Tak?

- Nie wyobrażam sobie życia bez ciebie.

- Och, Justin - szepnęła. - A ja bez ciebie. Ale jeśli chcesz być ze mną tylko dlatego, bo się do mnie przyzwyczaiłeś, bo to jest wygodne, to nie jest dobry powód. Oboje zasługujemy na coś więcej.

- Kocham cię, Mari. Sądziłem, że już nigdy tego nie powiem.

Marissa nie mogła uwierzyć, że słyszy to od mężczyzny, który kiedyś oznajmił, że miłość nie istnieje.

- Nie będziesz chyba płakać?

Pokręciła głową, ocierając łzy radości.

- Jesteś bardzo podniecająca - rzekł. - I seksowna.

- Seksowna? Naprawdę?

- Tak. Jak pójdziemy do łóżka, przez tydzień z niego nie wyjdziemy.

Marissa przytuliła głowę do jego piersi.

- Oboje byliśmy tacy głupi i ślepi - powiedziała cicho.

- I uparci.

- I uparci - zgodziła się.

- Ale naprawiliśmy błędy, i tylko to się liczy.

Marissa uniosła głowę.

- Nie odpowiedziałeś mi jeszcze, czy idziemy dzisiaj na randkę?

- No cóż - rzekł przeciągle. - Zgadzam się na D'Angelo, jeśli ty zaakceptujesz mój pomysł na dalszą część wieczoru.

- Jaki pomysł?

- Na przykład uwiedzenie?

Ciarki przeszły jej po plecach.

- Świetnie. Chociaż jestem za tym, żebyśmy od razu przeszli do twojego pomysłu.

- Takie kobiety lubię. - Wycisnął gorącego całusa na jej karku. - U ciebie czy u mnie?

Gdyby jej nie trzymał, pewnie z wrażenia upadłaby.

- Zawsze chciałam się przespać w łóżku z baldachimem.

- Nie chcę cię rozczarować, ale nie będziemy spali.

- Wziął ją na ręce. - Przynajmniej nie od razu.

- Obiecanki cacanki - zażartowała.

Przystanął w drzwiach.

- Co zrobiłaś z Tobym?

- Nocuje dzisiaj u Lucy. Na jej prośbę.

- Powinienem być się domyślić - zaśmiał się.

- Tracimy czas - mruknęła.

- Tak jest, proszę pani.

Justin kładł ją na łóżku tak powoli, jakby chciał jeszcze wzmóc jej pożądanie.

Jego plan był skuteczny. Już po chwili ubrania fruwały po pokoju, a oni turlali się na materacu. Justin całował fantastycznie, pieścił wargami jej ciało, drażnił się z nią, aż myślała, że oszaleje. A jego dłonie - te dopiero działały cuda! Jej wargi wcale nie były gorsze, choć mniej doświadczone. Jej dłonie były równie ciekawskie.

Pasowali do siebie jak dwa fragmenty układanki. Marissa nigdy nie przeżyła podobnej rozkoszy. To nie było kilka iskier, to był pochłaniający wszystko ogień.

Później - dużo później - była wyczerpana i usatysfakcjonowana, tak jak obiecał. A puste miejsce w jej sercu zostało wypełnione ponad miarę.

- Czemu tak wzdychasz? - zapytał Justin, przykrywając ich kołdrą.

- Tyle bym straciła, gdybym zignorowała radę Abby.

- Może nie. Może w końcu ja bym się odważył. Mało cię nie straciłem. Nie ryzykowałbym tego po raz drugi. Zgłosiłbym się, gdybyś szukała dawcy spermy.

- Nie żartujesz?

- Nie, ale to ostateczność. Chciałem włożyć ci najpierw obrączkę na palec.

- Oznakować swoją własność?

- Sprawić, żebyś była moja - poprawił. - Kocham cię, Mari, i dlatego to będzie najkrótszy okres narzeczeństwa w historii.

- To znaczy?

- Tydzień.

- Nie pojedziemy teraz na miesiąc miodowy - uprzedziła. - Żeby wziąć urlop, muszę zgłosić to dużo wcześniej.

- Więc pojedziemy kiedy indziej. Długo czekaliśmy, żeby być razem, nie odwlekajmy już tego.

Tak, odkładając na później wspólne życie, mogą tylko stracić. Przypadek Lonniego dobitnie im to uświadomił.